Nr. 3 Kraków, w marcu 1903 r. Rok IV.



Pismo dla kobiet
wychodzi w drugą niedzielę każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:

rocznie	1 kor.	zagranicą . . .	1 marka
półrocznie . . .	50 hal.	pojedynczy numer	10 gr.

Adres Redakcyi: Szpitalna 7, II. p.

JUBILEUSZ PAPIESKI LEONA XIII.

obchodzi cały świat katolicki Rocznica bowiem Jego kapłaństwa — o której wspominaliśmy zeszłego roku — przypada na rok bieżący. Wszystkie krakowskie dzwony kościelne, z wielkim zygmuntowskim na Wawelu, głosiły ten dzień radosny. We wszystkich kościołach całego świata katolickiego odbywały się też nabożeństwa. — Ojciec święty obecnie ma lat 93, a mimo to cieszy się dobrem zdrowiem i rzeźwością umysłu. Leon XIII-ty jest 60 lat biskupem, 50 lat kardynałem a 25 lat papieżem.

Sprawa ludu w r. 1863.

Są jeszcze między nami. którzy pamiętają te dni. pełne męczeńskiej chwały z przed laty czterdziestu. Po utracie wolności w rozbiorach Polski nie przestał nasz naród żyć — a żyjąc, pragnąć wolności dla siebie i swoich dzieci, dla swojej religii, języka, zwyczajów. Gnębiony przez Moskali i Niemców, nie zapomniał o biednej Ojczyźnie w niewoli, której krzywdy codzień nowymi bólami zapisywały się w jego sercu.

Przeciw przemocy zrywał się nasz naród kilka razy, a walki te orężne nazywamy powstaniami. Pierwsze powstanie podniósł Naczelnik Tadeusz Kościuszko, sto lat temu z górą; drugie wybuchło w r. 1831, a trzecie to właśnie to, którego rocznicę czterdziestą obchodziliśmy w tym roku, to jest powstanie w r. 1863, czyli tak zwane styczniowe, od miesiąca, w którym się rozpoczęło.

Cóż było powodem tej walki w r. 1863? Oto łzy nasze i krzywda nasza, które rozpierały serca młodzieży i zagrzewały je do walki.

Margrabia Wielopolski, minister carski, doradził rządowi rosyjskiemu wziąć rekrutów polskich do wojska rosyjskiego, aby tym sposobem pozbawić naród tej młodzieży, która najgoręcej czuła i najwięcej pracowała nad oświeceniem ludu, ciemnego na owe czasy,

Gdy się wieść o tem po kraju rozeszła. młodzi, aby uniknąć branki do wrogiej słu-

żby wojskowej, potajemnie zaczęli się gromadzić po lasach, skąd wyszli uzbrojeni i stanęli przeciw swoim wrogom Moskalom. — Powstanie jak płomień rozszerzyło się nietylko w okolicach Warszawy, ale objęło i dalsze strony: Litwę, Ukrainę i Wołyń.

Oddziały powstańcze licho uzbrojone stawały naprzeciw wielekroć razy silniejszego nieprzyjaciela, a taka była moc w tych wątłych naszych wojskach, że niejedno zwycięstwo odnosili nad silniejszym wrogiem. Któż walczył w naszych szeregach? Walczyła młodzież miłująca Ojczyznę, walczyli i starsi — a nawet kobiety i młodzi chłopcy chwytali za broń, którą spodziewano się wrócić Ojczyźnie wolność. Serca wśród trudów krzepili zacni kapłani, którzy nie opuszczali szeregów walczących i nieśli im słowo pociechy i zachęty w walce, a otuchy w chwili zgonu.

Rząd narodowy kierował powstaniem, zbierał fundusze, mianował dowódzców, zagrzewał do walki i powoływał do broni lud wiejski. Przed laty 40 była jeszcze pańszczyzna prawem obowiązującem; rząd narodowy w swej odezwie ogłosił ziemię, którą lud wiejski obrabiał pańszczyzną, jako własność wieczystą tych, którzy ją dotąd uprawiali, i wypowiedział, że tak jak wobec Boga, tak wobec Ojczyzny wszyscy jesteśmy równi.

Na takie słowa niejedna kosa wieśniacza stawała w szeregach powstańczych, ale na nic szły wszystkie wysiłki. Moskwa przemożną siłą zgniatała polskie oddziały, wieszała ich przywódców, pędziła na Sybir waleczne szeregi młodzieży, osierociła ziemię z jej najlepszych synów.

I zaczęła się smutna wędrówka wygnańców z rodzinnej ziemi między dalekie sybirskie lody, zaczęły się smutne sieroce płacze po dworkach i chatach wieśniaczych, gdzie matki, żony i siostry opłakiwały zgon na polu bitwy lub smutniejsze wygnanie swych synów, mężów i braci.

Powstanie zostało stłumione, strumienie krwi i łez wylano — czy nadaremnie jednakże? O nie! krew ta bohaterska jako posiew padła na naszą ziemię i zejdzie z niej plon!

Wypadki r. 1863 sprowadziły jedną ważną rzecz, to jest zniesienie pańszczyzny.

Na równi z powstaniem Kościuszki powołało ono pod broń lud wieśniaczy, wskazując mu obowiązek miłowania ziemi ojczystej, tej wspólnej matki i walczenia w jej obronie przeciw wspólnemu wrogowi.

Dziś, gdy rozmyślamy w tę smutną rocznicę z przed laty czterdziestu, zastanowić się musimy i nad tem, dlaczego te usiłowania odzyskania wolności pozostały bez skutku? Przyczyna jedna wielka wyraźnie staje przed oczyma. Oto tam, gdzie walczono o wolność Ojczyzny, tam nie stanął lud cały gromadą, bo lud cały wtedy nie wiedział jeszcze i nie rozumiał, na czem polega obowiązek wobec ziemi rodzinnej. Dziś czasy się zmieniają. Pod strzechy wieśniacze coraz częściej zalatuje słowo oświaty i pod siermięgami budzą się serca, miłujące tę świętą ziemię rodzinną.

A gdy wybije godzina zbawienia, pomiędzy tymi, którzy pracować będą dla lepszej przyszłości, nie zabraknie pewnie szeregów wieśniaczych, jako wiernych synów ojczystej ziemi.

Łza Ślązaczki.

Jak wynaradawiają nas na Ślązku austryackim.

Zielone Świątki zeszłego roku spędziłem na plebanii u księdza K., w wiosce polskiej na Ślązku, pół mili od Cieszyna położonej. Urocza okolica, zetknięcie się z ludem na wskróś polskim, gościnność zacnego księdza, gorącego miłośnika rzeczy ojczystych, czyniły mi pobyt ten niezwykle przyjemnym. Cieszyłem się myślą, że gdzie lud tak szczerze polski, tam choćby skromna pomoc współbraci wystarczy, aby mu nie dać się zniemczyć. A właśnie ksiądz K., pokazywał mi cały stos książek ze wszystkich stron Polski nadesłanych do »Czytelni ludowej« od niedawna we wsi założonej. Aż mi serce rosło na ten widok! I byłbym może nie dotkał struny bolesnej dla każdego Polaka, gdyby nie przypadek, który opowiem.

Do pomocy w zarządzie gospodarstwa na plebanii była panna Karolina, młoda osoba, może 20 lat licząca. Od księdza dowiedziałem się, że pochodzi z rodziny polskiej, urodzona i wychowana na Ślązku, skończyła tam szkoły i naukę gospodarstwa domowego. Pilna, pracowita, schludnie, czyściutko ubrana, krzątała się prawie milcząca, unikając wszelkiej rozmowy. Tłumaczyłem to nieśmiałością skromnego dziewczęcia. Drugiego dnia wypadło mi z konieczności zapytać ją, o której godzinie odchodzi pociąg ku Krakowowi? Odpowiedź jej była

dosłownie: »Wierzę, że o trzy firtle na jednę« *).

— Na Boga, zawołałem, a toż co za mowa! W jednej chwili zapłoniła się cała i spuściła oczy, z których zwolna spływały na policzki dwie duże łzy.

Długo patrzyłem na milczącą, przejęty dziwnie głębokim współczuciem; odgadłem bolesny wstyd i żal Polki-Ślązaczki. Na pytania moje objaśniła mię, że na plebanii bawi od niedawna, a przedtem blisko rok była wśród Niemców, że dlatego wstydzi się mówić po polsku, zapomniawszy niemal tego języka.

— A szkoła — zagadnąłem — przecież w szkołach ludowych na wsi, uczą was po polsku!

— Niech pan temu nie wierzy — odrzekła swą łamaną niemczyzną — my nieraz nawet katechizmu uczymy się po niemiecku. Język polski uważają tu za chłopski. Dziewczęta lepiej ubrane, »po pańsku«, pochodzące z domów niemieckich, mówią tylko po niemiecku; stąd nasze polskie dziewczęta przez próżność kobiecą, chcą im być równe, wstydzą się przy tamtych mówić po polsku, i tak przyjmują zwolna i odzież i mowę niemiecką — pańską.

Tylko takie uchodzą u nas za »panny«, bo my tu nie widzimy »państwa« mówiących po polsku.

Niemcy też nam ciągle kłują tem w oczy, mówiąc: wasza mowa, to mowa chłopów, przecież sami to widzicie!

— A matki, matki wasze, rzekłem — cóż na to?

— Matki? Mój Boże, a któraż matka nie pragnie widzieć swej córki w »wyższym stanie«!

Prawie zawsze taka już »panna« niemiecka pragnie i może wyjść za mąż nie za chłopa, ale lepiej n. p. za urzędnika kopalni lub dóbr arcyksiążęcych, za fabrykanta, kupca, a tymi są u nas na Ślązku li tylko sami Niemcy.

— Jednakże język polski, wtrąciłem — jest przecież u was w szkołach osobno wykładany, jako przedmiot nauki, sam dla siebie, więc pojąć mi trudno, jak można go tak zepsuć!

— Wierzy pan temu? — spytała. Niech wystarczy, gdy powiem, iż w ciągu ostatnich mych d w u l a t szkolnych raz tylko jeden, j e d y n y wezwaną byłam do głośnego czytania po polsku w klasie. O! tak rzadki wypadek, pamiętam doskonale, jakby dziś. Jakaś smutna siedziałam w mej ławce, zapatrzona z tęsknotą w okno, za którem malowniczo rysowała się nasza piękna wioska na tle ciemno-sinego pasma Beskidów w dali.

Widok ten piękny, spokojem i powagą tak dziwnie bratał się w mej duszy z dźwiękami mowy polskiej w niezwykłą jakąś harmonię, iż w tęsknej zadumie, pytałam siebie, czy wszędzie tak ciężko na świecie, tak duszno, jak nam, czy wszędzie wstydzą się ludzie swej ojczystej mowy, czy było nam kiedy lepiej, lub czy też jeszcze będzie?... Nazwisko moje, głośno wymówione przez nauczyciela, wyrwało mnie z tej zadumy. Bezmyślnie powstałam, miałam czytać po polsku raz po całych dwóch latach! Czytałam — a czytając, czułam wtedy, jak nigdy może, jak mowa ta piękna, jak mi do duszy przemawia — niestety krótką była moja radość! Nauczyciel kazał przestać, twierdząc, że źle czytam, i nie rozumiem tego, co czytam. Nic dziwnego — mówił — język to twardy, ubogi, krótko mówiąc c h ł o p s k i, nie nadaje się. Lepiej weźmy wypisy niemieckie, tam jest to samo opisane, ale w języku naszym, światowym, zatem: «Seite 46 der Frühling am Lande« — panno Karolino, proszę czytać.

— Nie mogłam... widzieć... liter....

*) Ich glaube drei Viertel auf eins.

Prześladowanie dzieci polskich
na Górnym Ślązku.

Raz po raz pisma nasze donoszą o nieludzkich prześladowaniach dzieci naszych, zmuszonych do nauki w szkołach pruskich, ale żadne pismo nie jest w stanie opisać z całą dokładnością męczeństwa naszych dzieci. Od pierwszych dni pobytu w szkole, aż do opuszczenia jej, to jedno pasmo męczarni, nieludzkich znęcań się, okrucieństw, jakich nie znają dzieje reszty świata. Dawniej, przed laty, dziecko polskie rwało się do nauki i nie umiało doczekać pory, z którą je do szkoły oddano. Chętne, zdolne i pilne starało się prześcignąć swych towarzyszy, z czoła nauczyciela wyczytać myśl i uprzedzić życzenie.

Dzisiaj dzieje się odwrotnie. Nauczone przykładem starszej braci, zestraszone opowiadaniem dzieci innych, wstępuje w progi szkolne dziecko nasze nieufnie, bojaźliwie i niechętnie. Od pierwszego dnia spotykają je przykrości i zniewagi. Biedne sześcioletnie dziecko słyszy, jak nauczyciel Niemiec przekręca umyślnie jego polskie nazwisko, przedrwiwa imię chrzestne, szydzi z jego

rodziców, plwa na wszystko to, co w domu nakazano mu uważać za świętość. Z biegiem czasu z upływem lat, dziecko takie, zmuszone słuchać fałszowania historyi polskiej, okłamywania uczniów, przeróżnych proroctw najpodlejszych (w rodzaju tych, że Polska już nigdy nie powstanie), uczy się gardzić swym nauczycielem. bo poznaje, że ten jest nietylko nieukiem, ale kłamcą i komedyantem wobec dzieci.

A nauczyciel pruski, to człowiek wcale dziwny i warto się z nim bliżej zapoznać. Wykształcenie ma dosyć mierne, a tego, po czem się poznaje ludzi dobrze wychowanych, daremnie byś szukał u niego. Głupota i ordynarność to jego główne cechy charakteru. Młody chłopak Niemiec, lub co gorsza, ze zniemczonej rodziny polskiej, często syn rodziców bardzo wątpliwej wartości moralnej, po trzech latach pobytu w seminaryum i to pruskiem, staje się kierownikiem i nauczycielem dzieci uczciwych rodzin polskich, które nie mają sposobu uchronienia swych maleństw od takiej zgubnej opieki. Pijaństwo, kazirodztwo i niemoralne życie bardzo są rozpowszechnione w pośród niemieckich nauczycieli.

Naturalnie, że z małymi bardzo wyjątkami, brak zdolności do nauczania zastępują oni surowemi karami. wymierzonemi swoim uczniom, i to tylko polskim W okolicach. zamieszkałych przez ludność polską i niemiecką. bywają w szkole dzieci polskie zupełnie inaczej uważane, niż dzieci niemieckie. W obwodzie przemysłowym przyszła pewna pani, Polka rodem, do szkoły, aby zameldować zaziębione dziecko. Godzina szkolna jeszcze nie wybiła. jedna część dzieci drżąca od zimna. chodziła po podwórcu szkolnym i to wśród jesiennego deszczu i wichury. a druga część stała w sieniach budynku szkolnego. Na zapytanie pani tej. czemu wszystkich dzieci nie zawezwano na korytarze. odpowiedział jej nauczyciel, że w sieni są dzieci niemieckie. tamte są polskie i mogą moknąć. Widocznie, że hakatysta uważał tę panią za Niemkę. Lecz ta poruszona taką bezczelnością. popatrzyła mu w oczy i wyrzekła: „Moje dziecko jest także polskie i wcale nie silniejsze od dzieci niemieckich, może tej różnicy mam do zawdzięczenia, że leży w silnej gorączce“? Niemiec-nauczyciel nie znalazł na to słowa odpowiedzi, spłoniony od wstydu usunął się na stronę.

Dobrze to jeszcze dla dzieci naszych, jeżeli nauczyciel sam przed sobą zawstydzić się potrafi, ale niestety, rumieniec wstydu na twarzy pruskiego nauczyciela. to gość prawie nieznany. I tak znamy przykłady (w Zabrzu, na Górnym Śląsku), gdzie nauczycielka nakazała jednej ze swych uczenic stać w klasie podczas nauki szkolnej i to przez przeciąg całego półrocza za to, że trzynastoletnia dziewczynka chodziła na polską naukę katechizmu, udzielaną przed przystąpieniem do Sakramentów świętych. W tymże samym Zabrzu, nauczyciel począł szkalować historyę polską wobec uczni szkoły wieczornej, t. j. chłopców kilkunastoletnich. Większa ich część, rodem polska i już oczytana, z najwyższem oburzeniem słuchała słów nauczyciela - Niemca, i gdyby jeszcze raz był swój wykład powtórzył, czekały go łozy na pewne.

W Zabrzu nauczycielka znowu ze złośliwości i tępości umysłu opowiadała swym uczenicom, że te dzieci, które się modlą po polsku, pójdą za to do piekła.

W tej samej miejscowości bito śmiertelnie i kaleczono okrutnie dzieci te, u których znaleziono w ukryciu polskie elementarze. Wskutek pobicia zmarła zdolna i chętna do nauki dziewczynka, a władze orzekły, że nauczyciel nie był winien. Tamże widziano chłopca, któremu się wszystkie zęby ruszały w ustach, a głowa była bezkształtna, zapuchła buzia Obojga dzieci winą było to, iż zabrały nieopatrznie do szkoły książkę polską.

W Kunatowie. wsi położonej nieopodal Zabrza, grasował nauczyciel taki szaleniec i okrutnik. że kilkoro polskich dzieci szkolnych leczyli z pobicia lekarze.

Prośby, ani groźby rodziców nic nie pomogły, daremne były również użalania się u wyższej władzy szkolnej.

Ostatecznie górnicy, rodzice pokrzywdzonych dzieci, wymierzyli sobie sprawiedliwość sami: zaczajono się na hakatystę. gdy ten powracał późnym wieczorem z karczmy i powalono go na ziemię. Jeden z górników przytrzymał go za nogi, drugi za głowę, a trzeci stanął nad nim z tęgim rzemieniem w ręku. Poczęto liczyć uderzenia: 15 batów masz za tego chłopca! — teraz 20 za tamtą dziewczynkę! — a 12 batów za innego.

Takim sposobem wlepiono Niemcowi kilkadziesiąt na skorę. I, o dziwo! Kulturnik, który nie umiał ani słowa po polsku, który matki polskie, błagające go o litość nad dziećmi, wypychał za drzwi i przezywał polskiem bydłem — ten pan począł błagać o litość swych oprawców i to czystą polszczyzną, jaką wyniósł z domu swych rodziców - Polaków. Po przyrzeczeniu poprawy postawiono go na nogi, zagrożoną podwójną porcyą, gdyby przyrzeczenia zapomniał, i puszczono zbitego do domu. Władze nie wyśledziły sprawców, a łajdaka tego przeniesiono w dalekie strony.

Ale niech czytelniczki nasze nie myślą, że

taki hakatysta, syn rodziców-Polaków, jest u nas wyjątkiem. Przeciwnie, większa połowa nauczycieli na Górnym Śląźku ma nazwiska czysto polskie, a z tych znowu połowa ma rodziców, którzy po niemiecku nawet nie umieją. Pochochodzi to stąd, że rodziny polskie uczciwe nie oddawają synów swych na nauczycieli, bo wiedzą, że oni są dzisiaj zmuszeni do nikczemnej pracy nieuczenia polskich dzieci. Na nauczycieli idą wyrzutki moralne, synowie rodziców już czasem w drugiem pokoleniu spodlonych i wynarodowionych i taki właśnie wychrzta najwięcej jest pożądanym dla rządu pruskiego. Niemiec prawdziwy gardzi nim, ale chętnie się nim posługuje, bo wie, że nauczyciel o polskiem nazwisku nie zawaha się przed żadną podłością, byle rząd pruski przebłagać za swe pochodzenie i wykazać, że jest z ducha Prusakiem.

I dlatego dzieci polskie cierpią najwięcej prześladowań ze strony nauczycieli takich, którzy się nazywają: Przybyła, Żyła, Buława, Kwaszyracho, Król i t. p.

Dodajmy jeszcze, że nauczyciele za skuteczne niemczenie dzieci polskich odbierają osobne wysokie nagrody od rządu, a będziemy mieli chociaż w części wyobrażenie o tem, jakimi środkami starają się oni nagrody te uzyskać.

Dziecko polskie w szkole pruskiej nauczy się bardzo mało, tak po całych ośmiu latach obowiązkowego uczęszczania do niej nie potrafi często paru zdań przeczytać gładko, ani paru wyrazów napisać bez błędu. O zrozumieniu tego, czego się uczyło, nie może być nawet i mowy.

Dzieje się to w ten sposób, że nauka odbywa się tylko w języku niemieckim, zupełnie dla niego niezrozumiałym. Dziecko uczy się na pamięć jak papuga, ale niema z tego nietylko korzyści, ale przeciwnie szkodę, bo męczy umysł swój.

Widziano dzieci polskie, uczące się w szkole pruskiej bardzo słabo, a pojmujące w niej też same przedmioty, wykładane im w domu po polsku. Z tego widzimy najwyraźniej, jak straszną, jak nieludzką krzywdą dla umysłu człowieka jest uczenie go w obcym, nieznanym mu języku.

Dzieci nasze nietylko że nie słyszą z ust nauczyciela jednego słowa objaśnienia po polsku, ale nie wolno im nawet ze sobą rozmawiać w ojczystym języku. Nieludzcy nauczyciele karzą dzieci za to, jeżeli na pauzie jedno do drugiego przemówi po polsku. Były przypadki, że nauczyciele czając się, śledzili dzieci szkolne poza godzinami nauki i karali je za to, iż na przechadzce w polu, w drodze do domu zapomniały o wstrętnej niemczyźnie. W okolicy Opola przywiązywali nauczyciele karty z napisem: „Mówiłam po polsku"! dzieciom tym, które przychwycono na tym uczynku.

Z tego łatwo zrozumieć, że uczciwy Niemiec, a tem mniej Polak, nauczycielem być nie chce, nie może.

A jednak dzieci nasze mimo nieludzkich prześladowań, mimo opuchniętych rąk i sińców po całem ciele coraz to więcej zacinają się w sobie i coraz to gorliwiej uczą się po polsku. W żadnym uczciwym polskim domu nie braknie dzisiaj elementarza, każde ślązkie dziecko wie, że jest i że pozostanie Polakiem.

Do polskich, osiadłych tutaj rodzin zgłaszają się dzieci górników i hutników z prośbą, aby je uczono po polsku. Historyi polskiej słuchają chciwie, łakną opowieści o naszych bohaterach, zaciskają drobne piąstki na wspomnienie krzywd doznanych od swych prześladowców. Wychowane w twardej szkole życia umieją milczeć, gdy zachodzi tego potrzeba, a potrafią i głośno zaprotestować, gdy honor ich będzie tego wymagał.

Słabsze i nędzniejsze zmarnieją i będą zakałą Polaków, ale ze silnych, wychowywanych przez rodziców rozumnych i uczciwych, wyrosną bohaterzy i w niedalekiej przyszłości Polskę odrodzą!

Alkohol — wróg ludu.

(Ciąg dalszy).

Przyjemności bez trunków.

Tak samo, jak bez alkoholu możliwą jest praca, istnieje mnóstwo przyjemności, z któremi nie jest połączone przyjmowanie trunków Należą tu wszelkie rozrywki umysłowe: książki, odczyty, wystawy, oglądanie dzieł sztuki, teatr i pięknosci przyrody. A towarzystwo? Czyż doprawdy upadliśmy już tak nizko, aby towarzyskość naszą podniecać koniecznie alkoholem? Czy nie znajdziemy przyjemności we wzajemnem obcowaniu, jeżeli nie stoją przed nami kieliszki i kufle?

Miliony ludzi wyrzekły się już dziś alkoholu, uważając go za truciznę dla organizmu, w imię zdrowia ciała i duszy i pomyślności przyszłych pokoleń. W Anglii liczba zwolenników zupełnej wstrzemięźliwości dochodzi do 7 milionów, w Szwecyi, gdzie zaludnienie mniejszem jest, niż w Galicyi, liczba ich wynosi sto tysięcy. W Niemczech, Szwajcaryi, we Francyi i Belgii wyrzekają się trunków całe zastępy ludzi rozumnych.

Wielu mniema, że wystarczy nie pić wódki i wystrzegać się opilstwa. Wśród wszystkich trunków wódka jest istotnie najniebezpieczniejszą, zwłaszcza u nas, gdyż jest najtańszą. Najuboższy człowiek zdobędzie się tedy na parę kieliszków wódki, wypije nieraz o czczym żołądku i upija się nader łatwo, bo osłabiony głodem organizm, łatwiej się podda upojeniu. Ale ta sama trucizna znajduje się w piwie i winie, które stają się napojami zamożniejszych, bo więcej kosztują i smakują lepiej. Nie o wódkę tu chodzi, lecz o znajdujący się w wódce, piwie i winie alkohol. Nie dość zatem wyrzec się wódki. Należy unikać wszelkich trunków gorących. Należy stronić od karczmy. Trzeba w domu starać się o dobre pożywienie i przyzwoite mieszkanie, w którem do tej karczmy człowiek tęsknić nie będzie.

Tak samo nie dość byłoby wystrzegać się pijaństwa. Nałogowe pijaństwo jest nieszczęściem i ciężką chorobą. Wyleczyć się z niego można niekiedy, ale najczęściej gubi ciało i duszę i czyni człowieka podobnym do zwierzęcia. Pijaństwo wynikające z chwilowego nadużycia przytrafić się może każdemu, kto nie jest całkiem wstrzemięźliwym, choćby nawet zwykle pił całkiem umiarkowanie. Widzieliśmy już, do ilu nieszczęść i zbrodni najporządniejszego człowieka doprowadzić może taki stan upojenia, w którym człowiek nie odpowiada za siebie. Niedostateczną przeciw truciznie alkoholowej obroną byłoby wszakże czuwanie nad sobą, aby nigdy nie być w stanie niepoczytalnym. Umiarkowane picie sączy do krwi i mózgu codziennie truciznę, i to codzienne zatruwanie, jakiemu dziś oddajemy się wszyscy, nie mniej jest zgubne od chwilowych nadużyć.

Jedynym zatem sposobem ustrzeżenia siebie i swoich następców od zatrutego działania alkoholu, jest stać się zupełnie wstrzemięźliwym, wyrzec się wszelkich trunków.

Kto zaś nie może zdobyć się na taką ofiarę, kogo nie stać na siłę woli, niezbędną do zupełnego wyrzeczenia się trunków, niech przynajmniej odzwyczai się od codziennego używania wódki, piwa i wina, a przy okazyi stara się uniknąć pijaństwa. Kieliszek wódki czy szklanka piwa, używana co dzień, zgubnie oddziaływa na organizm człowieka, oraz na fizyczne i moralne zdrowie jego dzieci.

Włościanie i alkohol.

Alkoholizm jest dziś złem tak powszechnem, że wszyscy członkowie społeczeństwa, wprost dla zachowania samych siebie, rozpocząćby z nim powinni walkę.

Cel jest wielki: chodzi o wyswobodzenie samych siebie i całej ludzkości, pokolenia dzisiejszego i następnych od trucizny, która obniża nasze zdolności umysłowe, osłabia zdrowie i odbiera siły.

Ale wielkiemi są też trudności. Nie trzeba się łudzić, ta zmiana nie przyjdzie łatwo. Alkohol nieodstępnym stał się nam towarzyszyszem. Człowiek ubogi, w walce o trzeźwość napotyka jeszcze większe trudności i pokusy niż zamożny, na to z góry przygotowany być musi.

Na każdym rogu ulicy czeka na niego szynk, a w każdej wsi karczma. Gdy zgłodniały, spragniony, zmęczony wejdzie do karczmy przy drodze, oprócz wódki i lichego piwa, nic tam dostać nie może. Nawet w wielu Kółkach rolniczych nie doprosi się szklanki kawy czy herbaty, a nawet bułki. Ktokolwiek drugiego poczęstować zechce, stawia mu kieliszek wódki, czasem szklankę piwa lub wina.

Słowem wszyscy i wszystko dokoła sprzysięgło się, aby nam ciągle wódkę przypominać. Mieszkanie włościanina jest ciasne i liche, pożywienie często niedostateczne i uwarzone niestarannie. Za całą rozrywkę służy pogawędka z kumami przy kieliszku wódki lub szklance piwa. Praca wytężona pozostawia mało czasu na zjedzenie obiadu czy śniadania, brak gazet i książek utrudnia rozrywki umysłowe.

Wobec takich warunków życia zerwanie z trunkami jest niezmiernie trudnem, a przecież koniecznem. Jest to nieodzowny warunek wyswobodzenia się z biedy, dlatego hasłem ludu powinno być: „precz z alkoholem"!

Jakie szkody przynosi alkohol naszym rodzinom i dzieciom?

Z tego, co się powiedziało dotąd, łatwo sobie zdać sprawę, jak zgubny wpływ wywiera alkohol na życie rodzin. Pijak niezdolny do pracy, wyrzucony na bruk jest największym ciężarem dla rodziny, której był jedyną podporą. Pijaństwo żony wnosi do gospodarstwa rozstrój i zubożenie. Nie może być inaczej, gdy kobieta staje się niezdolną do spełniania obowiązków gospodyni i matki. Każdą zawodową pracę pijak z czasem utracić musi. Do rodziny wkracza przeto niedostatek, dochody wciąż maleją, wydatki rosną. Mąż pijak, czy żona pijaczka

żądają coraz więcej pieniędzy na wódkę, bez względu na to, że ich niema. Ileż to rozdzierających scen rozegrywa się codzień w rodzinach pijackich: wódka i głód, dzieci pozbawione opieki, narażone na niedostatek, często nagie i zziębnięte, bite i popychane. Skoro dodamy do tego bójki, kłótnie, wymysły i wymówki, będzie to obraz piekła na ziemi, nie życie rodzinne. Choć nędza w domu, choć w chwili trzeźwości czuje pijak, że z jego winy rodzina doprowadzoną została do biedy, sprzeda ostatnią poduszkę, wycygani grosz ostatni. Pijak nie zawaha się przed największą podłością, przed wyciąganiem ręki na ulicy, bo pragnienie wódki jest jeszcze gorsze, jeszcze dotkliwsze od głodu i czyni krzywdę jemu i istotom, które kocha.

(Dokończenie nastąpi).

Roboty wiosenne w ogrodzie.

Roboty w sadzie.

Każdy, kto posiada lub postanawia zaprowadzić sad u siebie, winien zawsze pamiętać o tem, że drzewo owocowe — to istota żywa: ono stopniowo rośnie, rozwija się, kwitnie, owocuje, odżywia się pokarmami, zabieranymi z powietrza i z ziemi, wyczerpuje tę ostatnią, starzeje się, gałęzie okrywają się mchem i porostami, gałązki zaczynają stopniowo zasychać, owocowanie się zmniejsza i w końcu wzrost ustaje zupełnie — następuje śmierć drzewa. W ciągu zaś całego swego życia drzewo owocowe cierpi od różnych szkodników i od nieprzyjaznych wpływów powietrza, ciepła i gruntu. Stąd zachodzi konieczność pielęgnowania drzew owocowych, które polega na tem, aby drzewom zapewniać jak najkorzystniejszy rozwój, a usuwać lub zapobiegać temu, co jest dla drzew niekorzystnem. Pielęgnowanie drzew owocowych wtedy będzie więcej świadome, rozumne i korzystne, jeżeli się zna naturę wzrostu drzewa, oraz te warunki i przyczyny, które sprzyjają lub nie dobremu wzrostowi drzewa. Nauczyć się tego można, radząc się ludzi, którzy się tem umyślnie zajmują, jako też przy pomocy dobrej książki sadowniczej*). Tutaj zaś podajemy tylko wskazówki ogólne, przypominające, jakie to czynności koniecznie należy wykonać w ogrodzie w czasie wiosennym.

Roboty wiosenne w sadzie rozpoczynają się już od drugiej połowy zimy, to jest w lutym. Jeżeli w tym czasie śnieg pokrywa ziemię, należy go udeptywać naokoło drzew owocowych, żeby utrudnić myszom wydostawanie się na powierzchnię i przez to uchronić drzewa od ogryzania przez nie, myszy właściwie ogryzają pieńki drzew tuż przy powierzchni ziemi pod koniec zimy. Najkorzystniej też jest w tej porze oczyszczać drzewa z owadów, a to za pomocą nożyc, osadzonych na długim drążku, któremi obcina się wraz z gałązkami gniazda owadów, znajdujących się w zwiniętych liściach, w oprzędach lub w postaci trudno dostrzegalnych obrączek na gałązkach młodych; gałązki obcięte wraz z owadami łatwo jest zebrać po śniegu poczem spalić. Dopóki drzewa nie zaczną rosnąć, a mrozy nie przeszkadzają, należy wycinać w koronach drzew gałęzie zbyteczne, przyczem usuwa się: 1) gałęzie i gałązki suche, zrakowaciałe, zmarznięte i połamane; 2) gałęzie zbyt zgęszczone, utrudniające dostęp światła do środka korony; 3) krzyżujące się i ocierające się jedna o drugą, przyczem wycina się więcej słabe lub uszkodzone i nakoniec całkowicie wycina się wszystkie drzewa stare, uschnięte, oraz odrostki przy korzeniach, jako też i drzewa dzikie leśne, znajdujące się przypadkiem w sadzie. Drzewa, które wskutek s t a r o ś c i mało i licho rodzą, chociaż pnie mają zdrowe, należy o d m ł o d z i ć, polega to na tem, że najpierw wycina się zupełnie wszystkie gałęzie martwe i chore, następnie zaś gałęzie żywe skraca się do połowy lub niekiedy więcej. Jednocześnie z temi czynnościami opatruje się i rany na pniach, powstałe czy to wskutek odmrożenia, czy też skaleczeń i t. p. Za pomocą noża i dłutka brzegi ran należy wykroić do drewna zdrowego.

Czereśni i wiśni nie odmładza się, również i śliw. Wszelkie ucięcia robić należy gładko nożem ostrym, dopomagając przed tem n. p. przy gałęziach grubych piłką, następnie zasmarowywać maścią ogrodniczą, najlepiej „prądnicką“ *).

Po skończeniu robót powyższych przystępuje

---

*) Najlepszą książką sadowniczą jest wyszła niedawno praca Józefa Brzezińskiego p. t.: „H o d o w l a d r z e w i k r z e w ó w o w o c o w y c h“, w którą radzimy zaopatrzyć się każdemu, kto ma sad jakikolwiek. Nabyć ją można w każdej księgarni za 7 koron.

*) Przepis na maść „prądnicką“: 250 gramów żywicy, 125 gramów smoły białej szewskiej i 50 gramów łoju niesolonego roztapia się na ogniu wolnym, a następnie dolewa się 100 gramów spirytusu mocnego. Do rzadkiego płynu dodaje się jeszcze 100 gramów ochry w proszku, od czego maść staje się czerwoną. Gotową maść zlewa się do puszek blaszanych lub słoików szczelnie zakorkowanych. Będzie ona półpłynna i łatwo nią smarować. Gdy maść stężeje, trzeba ją rozgrzać i dolać trochę spirytusu.

się do oczyszczania pni i gałęzi z mchu, porostów i kory starej strupieszałej, przyczem jednocześnie niszczy się i owady zimujące pod płatkami i w szczelinach kory. Do oskrobywania służyć może nóż z drzewa twardego lub sztabka żelazna; dobrze też jest po takiem oskrobaniu wyszorować drzewo szczotką z grubego włókna roślinnego. Wszystkie skrobanki bezwarunkowo potrzeba zebrać czysto i spalić natychmiast. Bardzo korzystnie jest oczyszczone drzewo pobielić, t. j. za pomocą pędzla lub lewacza osmarować mlekiem wapiennem, rozrobionem z gliną. U agrestów i porzeczek powycinać przy samej ziemi gałęzie stare, osuszone, jako też i młode, lecz słabe. Krzaki zupełnie przestarzałe, które przez to zaczęły rodzić jagody drobne i liche potrzeba przyciąć nizko, przerzedziwszy wprzódy gałęzie; wskutek tego wyrosną gałązki młode i te będą dobrze owocowały. Wogóle u krzewów tych nie powinno się zostawiać więcej niż 15 gałęzi głównych. U malin usuwa się łodygi suche, które już owocowały, oraz słabsze młode, gdy ich jest zbyt dużo.

Roboty powyższe powinny być ukończone, zanim pączki na drzewach zaczną nabrzmiewać, bo wtedy już soki napływają, przez co drzewo się osłabia.

Gdy ziemia rozmarznie i da się już obrabiać należy wykonywać wszelkie sadzenie lub przesadzanie drzew i krzewów owocowych, rozpoczynając od agrestów i porzeczek, a kończąc na jabłoniach. W każdym razie nie przeciągać tych robót dłużej, niż do początku maja.

W tym też czasie można pomnożyć sobie zasób krzewów owocowych, mianowicie: z agrestów porobić sobie odkłady, przypinając po parę lub kilka gałązek niezbyt starych (2 lub 3-letnie) do ziemi, z porzeczkami równie można tak samo postąpić lub też porobić z silnych gałązek rocznych sadzonki i posadzić je na grządce osobnej, u malin odkopuje się i oddziela odrostki i sadzi się je na owem miejscu.

Zarówno drzewa jak i krzewy owocowe należy okopać przynajmniej tak szeroko, jak sięgają korony tychże, najlepiej wszakże wcale nie zapuszczać sadu trawą, lecz dopóki drzewa są młode i niezupełnie cienią ziemię, uprawiać pod niemi wszelkie warzywa a nawet i zboża, a gdy drzewa rozrosną się szeroko, zaprzestać uprawy, lecz ziemię utrzymywać stale w stanie pulchnym, przeorując ją lub przekopując przynajmniej raz na wiosnę lub w jesieni jednocześnie z okopywaniem lub przeorywaniem ziemi w sadzie, potrzeba zasilić te drzewa, które są słabe i wyczerpane owocowaniem. Używać do tego nawozu zupełnie przegniłego lub kompostu, nawóz ludzki przemieszany n. p. z torfem i popiołem bardzo jest skuteczny. Nawozy zakopuje się na głębokość 30 – 50 cm. głęboko w rowki, zrobione naokoło drzew trochę dalej, niż sięgają korony drzew; jeżeli cały sad potrzebuje zasilenia, to rowki robi się środkiem między liniami drzew wzdłuż i w poprzek linii sadzenia. Doskonałe też są nawozy płynne, jak n. p. gnojówka, wyciekająca z obory, odchody ludzkie rozrzedzone i t. p., które wlewa się w dołki wykopane lub w otwory przebite naokoło drzew drągiem; nawozy płynne muszą być silnie rozcieńczone z wodą, inaczejby mogły zaszkodzić, niebezpiecznie też dawać je zbyt wcześnie na wiosnę, dopóki drzewa nie zaczęły rosnąć. Przy krzewach owocowych nawozem wyściela się ziemię i przekopuje z nim razem.

Truskawki po oczyszczeniu z liści suchych i rozłogów podlać gnojówką, ziemię zmotykować i wyłożyć gnojem drobnym. Rozłogi (wąsy) można rozsadzić na grzędach osobnych.

Jeżeli w sadzie znajdują się takie drzewa, które choć młode, zdrowe i piękne, lecz wydają owoce nie wielkiej wartości, to je należy odmianą lepszą przeszczepić w koronach za pomocą sposobu, zwanego kożuchowaniem, t. j. szczepieniem za korę. Robi się to zwykle w końcu kwietnia, gdy kora odstaje, a liście jeszcze się nie rozwinęły; zrazy do tego celu musiały być przechowane przez zimę.

Gdy ciepło nastanie wylęgają się z jajeczek gąsienice owadów, które z początku trzymają się gromadnie, najczęściej w rozwidleniach gałęzi, łatwo więc je tu dostrzedz i zniszczyć.

Przejrzeć wiązania u drzew młodych i słabe poprawić, a kołki nadgniłe zastąpić nowymi.

Roboty w ogrodzie warzywnym,

Cały ogród warzywny powinien być zorany w grube skiby jeszcze na jesieni, ale kawałki na których mają być kapusty, obficie nawieziony gnojem świeżym i cienko przyorany. Jeżeli nie nawieziono w jesieni, to zrobić to ile można najwcześniej na wiosnę, używając nawozu drobniejszego lub na wpółpognitego. który zaraz przyorać. Ogród warzywny musi być podzielony na trzy części, z których coraz inną corocznie się nawozi silnie, tak, że każdy kawałek otrzymuje nawóz co trzeci rok. Na części świeżo nawiezionej uprawia się wsze[illegible]e kapusty, sałaty, szpinaki, pomidory, selery, ogórki, dynie; w roku drugim część ta pójdzie pod warzywa korzeniowe, jak marchew, buraki, pietruszka, cebula, brukiew, rzepa, a w trzecim groch, fasola mogą



Rysował Artur Grottger.

PUSZCZA.

też być na buraki na zbyt zimowy, marchew i cebulę. Gdy się ma nawozu pod dostatkiem, korzystniej jest corocznie całą jedną połowę ogrodu nawozić.

Pod kapustę wybierać zawsze miejsca niższe, wilgotniejsze i ziemie cięższe, pod cebulę lżejsze, ciepłe, tak samo dla pomidorów, fasoli; ogórki lubią ziemię ciepłą, wilgotną, czarną.

Robotę w ogrodzie rozpocząć od wysiewu warzyw na rozsadę. Kto posiada inspekty, może to zrobić już na początku marca; w braku inspektów potrzeba mieć dobre rozsadniki, to jest grządki z czarnej ziemi przy domu lub przy parkanie od strony południowej, muszą one być na zimę grubo przywalone gnojem, żeby tam ziemia nie przymarzła. W połowie marca można na nich wysiać nasienie kapusty wczesnej, n. p. erfurckiej wczesnej małej lub janówki, plon z tego siewu otrzyma się w sierpniu i początku września; jednocześnie z tem wysiewa się i nasienie cebuli holenderskiej lub żytawskiej, pomidory można wysiać do skrzyneczek płaskich i trzymać je w mieszkaniu na oknie, a w połowie kwietnia rozsadzić rzadziej na rozsadniku i ochraniać od zimna, okrywając szmatami lub workami; strzedz też od mrozu potrzeba i rozsady wysiane wprost na rozsadniku. Kapusty późniejsze na użytek jesienny i zimowy (do kwaszenia) dość jest wysiać w pierwszej połowie kwietnia; jednocześnie można zasiać kapustę brunszwicką i magdeburską, z których ostatnią przeznaczy się na zimę; brunszwicka jest trochę wcześniejsza. Oprócz powyższych warzyw rozsadnika zasiewa się brukiew, kalarepę; siew tychże powtarzać można kilka razy w odstępach parotygodniowych, ażeby je mieć ciągle dla dosadzania miejsc pustych. Najwcześniejszą kapustę do gruntu wysadzać w końcu kwietnia, a najpóźniejszą w końcu maja a nawet i w początku czerwca. Pomidory sadzi się po 15 maja, cebulę na początku maja. Selery z rozsadnika nie dorosną całkowicie przed zimą. Przy wysadzaniu wszelkich rozsad do gruntu dobrze już maczać ich korzonki w papce z gliny i krowieńca. Sadzić mocno.

Z warzyw, które siejemy odrazu do gruntu na miejsce stałe, najwcześniej (w marcu) wysiewa się buraki n. p. egipskie, krwisto-czerwone, podługowate, marchew dantejska, długa, czerwona, pietruszka cukrowa, grochy wszelkie, szpinak, rzodkiewka. Siew marchwi, rzodkiewki a zwłaszcza grochu można powtórzyć po paru tygodniach. Rzodkiew letnią siać w końcu kwietnia i początku maja, zimową w maju. Sałaty gruntowe siać na początku kwietnia, a potem za gęste wschody przerywać. Wogóle wystrzegać się siewów gęstych, lepiej siać za rzadko niż za gęsto. Cebulę dymkę sadzić w pierwszych dniach kwietnia. Fasolę i kukurydzę wysiewać około 15 maja, gdy już przymrozki miną; w tym też czasie wysiewa się i ogórki. Aż do połowy lata potrzeba mieć na rozsadnikach lub grządkach zapas wszelkiej rozsady, ażeby później, o ile gdzie okażą się miejsca puste, zapełniać niemi natychmiast. Do tego szczególniej służyć mogą kalarepa, brukiew, sałata, buraki z przerywania wschodów zbyt gęstych.

Nie zaniedbywać nigdy niszczenia chwastów, zanim one zaczną przerastać warzywa uprawiane, strata przez taką opieszałość zwykle bywa niepowetowaną. Trzeba przytem nauczyć się obchodzenia się bez pielenia ręcznego, lecz przyzwyczaić się do używania motyczek i kopaczek, za pomocą których robota idzie raźniej, skuteczniej, a przedewszystkiem taniej.

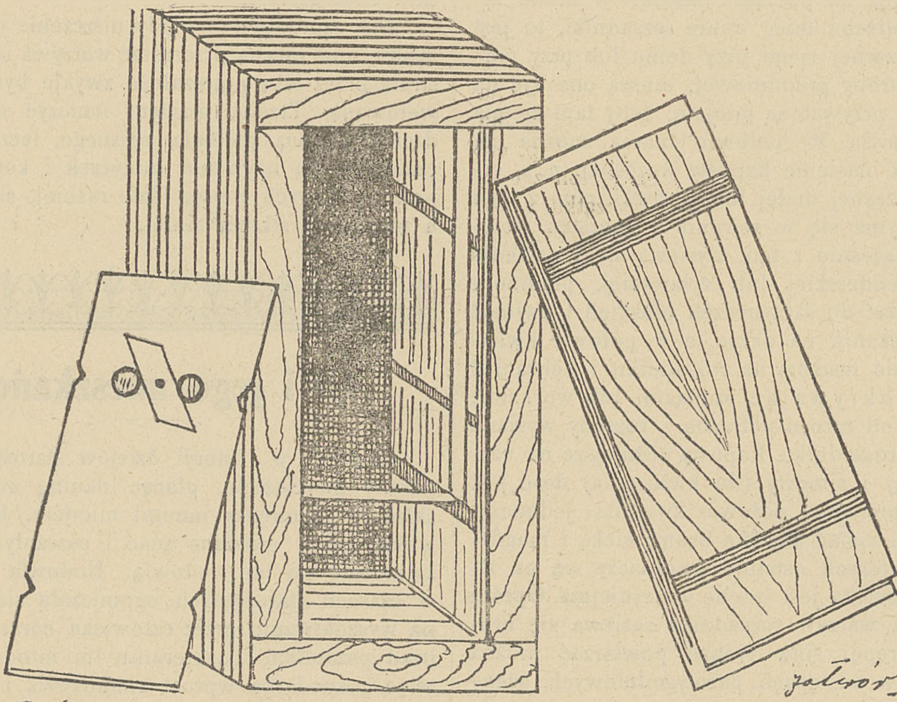
Ul i jego mieszkańcy.

Czytamy w historyi dziejów starożytnych, że narody zwyciężone, płacąc daninę zwycięzcom, składały ją między innemi miodem. Jeśli znano wtedy miód, musiano znać i pszczoły; musiano zajmować się ich hodowlą. Hodowla ta jednak w czasach starożytnych ograniczała się zapewne na wyszukiwaniu przez człowieka coraz to innych osad pszczelich i zabieraniu im miodu. Była to więc gospodarka wprost rabunkowa i bezwzględna. Poszukiwacz miodu przebiegał jary, ustronia i puszcze leśne, śledził za barciami t. j. za drzewami staremi, w których dziuplach siedziały pszczoły, a znalazłszy rabował je doszczętnie, nie pytając, co one poczną jutro. Gdy jednak pszczoły mimo zabrania im zapasów nie porzucały mieszkania, ale ze zdwojonym zapałem pracowały dalej, by stratę powetować, właściciel odwiedzał je przeto parę razy do roku. Jedne i te same osady pszczelne podbierało nieraz i kilku, nie wiedząc o sobie, a już najwięcej i na dobre gospodarował w nich bartnik-niedźwiedź. To wszystko, a nadto chęć posiadania odnalezionej barci na niepodzielną własność skłoniły człowieka, że wyszukane pszczoły starał się wraz z kłodą drzewa przenieść w pobliże swego domostwa. Kilka, kilkanaście lub kilkadziesiąt takich pni z pszczołami ustawionych w jednem miejscu tworzyły pasiekę.

Taki był początek zakładania pasiek u nas.

W pasiekach rozpoczęto gospodarkę łagodniejszą. Pasiecznik zaznajamiał się bliżej z pszczołami, podziwiał ich zapobiegliwość, rządność i pracowitość, otaczał je troską i opieką, za co one płaciły mu hojnie złocistym płynem. Dzielenie się pszczół na coraz to nowe rodziny, zmusiło pasiecznika do przygotowania nowych mieszkań dla nich. W tym wypadku wzorował się on na wolnem życiu pszczół w ogrodzie. Wiedząc, że pszczoły obierają za siedzibę najchętniej dziupla drzew, zrębów, mało łąk i odłogów, mniej pastwisk, węższe miedze a jeszcze mniej drzew owocowych, to też i ul dłubany nie jest odpowiednim. W obecnych czasach pasiecznik musi robotą pszczół umiejętnie kierować, musi czuwać nad pasieką, jak czuwa dobry gospodarz nad gospodarstwem, bo tylko w ten sposób może mieć z pasieki pożytek.

Wszelkie zaś kierowanie robotą pszczół w kłodach dłubanych jest niemożliwe.



— ul słowiański —

ciął pnie wewnątrz zbutwiałe na mniejsze lub większe kawałki, oczyszczał dokładniej, zatykał dnem z dołu i z góry, wycinał z boku drzwiczki, któremi możnaby do wnętrza zaglądnąć, wywiercał wyloty dla pszczół, stawiał pniak w pasiece i nakrywał płytą kamienną lub słomianym daszkiem.

To były ule pierwotne.

Że w ulach takich było pszczołom dobrze, że się w nich „wiodły", świadczy choćby ta okoliczność, że używano ich do niedawnych czasów. I dziś jeszcze dosyć uli takich mają włościanie w pasiekach, tylko że w ulach tych już się tak nie wiedzie, jak za dawnych czasów. Dawniej pszczoły siedziały i w starej wierzbie, a miodu było pełno, bo też i dla nich było pożywienia w polu obficie. Dziś znikły okolice miodne, mało

Ul zastosowany do nowoczesnej dobrej gospodarki musi być dla pszczół odpowiednim, a dla pasiecznika wygodnym.

„Co wieś, to inna pieśń" — przysłowie to spełniło się tu co do joty. Co wieś, to inne ule. Tu większe, tam mniejsze, tu oszklone, tam stojące, tu leżące, podwójne, potrójne, a nawet jak kamienice piętrowe.

Byłoby bezcelowem opisywać szczegółowo wszystkie z wynalezionych uli, z których niejednemu nie można odmówić i znacznych zalet; nam rozchodzi się tu o wskazanie, który ul jest najpraktyczniejszy. Rozsądek powiada, że należałoby z dotychczas wynalezionych uli wybrać najlepszy i do użytku zalecić, lub też na podstawie zalet każdego ula z osobna zbudować taki, któryby posiadał zalety wszystkich uli a był wolny

od ich wad. Tak też postąpiło Galicyjskie Tow. pszczelniczo-ogrodnicze w roku 1875, uznając za najpraktyczniejszy ul tak zwany „Słowiański“.

Ul słowiański wygląda jak domek, jak mała chałupka o czterech ścianach, nakryty daszkiem. Budowany bywa z desek lub słomy. Deski najodpowiedniejsze są lipowe, topolowe wreszcie i jodłowe lub smerekowe, byle nie bardzo smolne, grubości 1·5 cm. Podłoga, powała, i trzy ściany boczne dla drewnianego, są podwójne wewnątrz wypełnione szczelnie słomą lub innym materyałem (mech, wrzos, trociny), w ścianie czwartej jest otwór, zastawiony zatworem jakby drzwiczkami.

Wysokość ula wewnątrz wynosi 64 cm., szerokość wewnętrzna 24 cm., a głębokość 41 cm.; grubość ścian może być dowolna, zwykle wynosi razem z deskami i warstwą słomy 7 cm. W jednej ze ścian szerszych umieszczone oczko (którem pszczoły wylatują i wlatują) w takiem położeniu, aby padło mniej więcej na wprost 4-ej ramki, licząc od pleców ula. Ul słowiański jest stojakiem, o ramkach stojących lub wiszących. Ramek tych bywa w ulu zazwyczaj 10, zrobione z listewek 7 mm. grubych, 2 5 cm. szerokich. Wysokość ramek wynosi 48 cm., szerokość 22·7 cm. Ramki te stoją w ulu, jakby książki w szafie, jedna przy drugiej w odstępie 1 cm. na dwu silnych listewkach, cztery cieńsze listewki, przybite do bocznych ścian ula utrzymują ramki te w miejscu. Ramki wiszące są mniej dobre. Do zupełnego urządzenia ula słowiańskiego należy jeszcze i zastawka, zrobiona z deszczułki 1 cm. grubej, przystająca szczelnie trzema krawędziami do powały i bocznych ścian ula — czwartą zaś opiera się na listewkach, na których stoją ramki. Ul zamyka się zatworem z deski 4—5 cm. grubej, a nakrywa daszkiem z desek lub gontów.

Ul słowiański jest trwały, dobry do zimowania pszczół i wyzyskania ich pracy należycie, a przytem dla prowadzącego pasiekę bardzo dogodny i pracę ułatwiający.

J. Lorenc.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Za morzem.

Porzuciła starą matkę,
Wioskę swoją, swoją chatkę,
Pojechała hen — nieboże,
Za to wielkie sine morze;
Bo słyszała, że są kraje,
Kędy ziemia złoto daje;
Gdzie i schylić się nie trzeba,
Żeby mieć w bród złota, chleba...
Oj! dziś Maryś wie, że wszędzie
Tylko pracą chleb zdobędzie.
Oj! dziś Maryś wie, co znaczy
Ciężki żywot wieść tułaczy.
Dziśby rada, do tej chatki,
Do ubogiej starej matki,
Dziśby rada na te łany,
Na te błonia i kurchany
Choć popatrzeć! — mocny Boże!
Pozwól wrócić hen, za morze...
By choć umrzeć między swemi,
W swojej chatce, na swej ziemi!

Janina Różańska.

ROZMAITOŚCI.

Czesi święcili w ubiegłym miesiącu uroczystość jubileuszową swego największego poety Jarosława Vrchlickyego. Jest to pisarz ogromnego talentu i niezmordowanej pracy, i może żaden z poetów nie napisał tak wiele dzieł w przeciągu tak krótkiego czasu. Dotąd bowiem wyszło już w druku 176 tomów dzieł jego Vrchlicky jest też szczerym przyjacielem Polaków i gorącym wielbicielem polskich poetów. Zna doskonale dzieła naszych wieszczów, jak Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego i wielu innych, a osobiście kocha i ceni żyjących naszych pisarzy, przed innymi zaś Konopnicką. Przetłumaczył on bardzo wiele utworów polskich na język czeski i tym sposobem dał poznać nasze piśmiennictwo bratniemu narodowi, przez wdzięczność więc Polacy przy sposobności obecnego jubileuszu wyrazili mu swą cześć i uznanie.

Opróżnienie Wawelu. Było to w roku 1880, gdy cesarz Franciszek Józef I. przybył w odwiedziny do Galicyi. Ludność całego kraju witała monarchę z zapałem i serdecznością. W Krakowie zwłaszcza radość mieszkańców wzrosła do tego stopnia, że cesarz chcąc dać wyraz swej za to wdzięczności i swego zadowolenia, ogłosił narodowi przez usta ówczesnego burmistrza miasta, Dra Zyblikiewicza, iż zamek na Wawelu, który był dawniej siedzibą królów polskich, a po zajęciu Krakowa przez Austryaków, zamienionym został na koszary i szpitale wojskowe, krajowi zwróci jako jego własność.

Uszczęśliwiony naród postanowił więc zamek wawelski po odebraniu go od rządu austryackiego odnowić.

Od owego czasu upłynęło już jednak lat 23, a do-

tąd rząd austryacki zamku nam nie oddał, i oddać dopiero wtedy obiecał, gdy kraj nasz za własne pieniądze zbuduje dla wojska koszary i szpitale, co kosztować nas będzie kilka milionów koron Nie mając na razie tyle pieniędzy, nie możemy korzystać z obietnicy cesarza i wejść w posiadanie zamku naszych królów, który wojsko przez tyloletnie używanie na swą siedzibę zupełnie zniszczyło i zrujnowało. Więc znów pewne lata upłyną, zanim za wielkie sumy postawić będziemy mogli owe ogromne dla wojska budynki. poczem jeszcze długo czekać musimy, zanim wdowi grosz publicznych składek da nam fundusz tak wielki, aby można było do odnowienia zamku przystąpić, po to, aby go jako mieszkanie cesarskie obcemu rządowi darować. Tak to nasze nadzieje nawet najbardziej uprawnione spełniają się zawsze!

Bojko do włościan polskich w Ameryce ogłasza list, z którego podajemy wyjątki.

„Mili Bracia! Z boleścią w duszy wyjeżdżaliście z rodzinnego kraju .. Z wielką biedą, a jeszcze z większem niebezpieczeństwem życia przeprawiliście się przez tak szerokie wody morskie, a niemało się niejeden z was napołykał gorzkich łez tułaczych, zanim udało się mu dostać ciężką pracę, zanim mógł zarobić jaki dolar na gorzki kawał chleba.

Te wszystkie trudy ponosiliście i ponosicie, a na cóż to? Czy może dlatego, aby świata kawałek Bożego zobaczyć? Nie, toby była droga ciekawość... Brakło wam powszedniego chlebusia. Biedny kraj... możeby i rad wam go dać więcej, ale dziwnym trafem nie mógł, czy nie umiał. A przecież tyle obcych gęb zajada polski, święty nasz chleb, co wam go brakło...

Wy, drodzy przyjaciele, nie wiecie, jaka rozkosz dla waszych rodziców, gdy od was list odbiorą i dowiedzą się, żeście zdrowi i dobrze się wam zarobek wiedzie. A nie wiem, czy wy wiecie, jaka radość i dla rodziców i dla was, gdy widzimy, jak, dzięki waszej ciężkiej pracy i temu krwawemu groszowi, który przysyłacie, rodzice oddają gniotące ich długi, albo przykupują grunta, albo wreszcie chowają w kasach dla was, gdy wrócicie. I z dumą ten i ów ojciec powiada do sąsiada: „wiecie kumie, moja córka, albo mój syn, już mi tyle i tyle przysłał pieniędzy z Ameryki". O, pracujcie biedni emigranci, i tulcie ten grosz do grosza, bo on i wam i waszym rodzicom zgotuje lepszą dolę Niech wam ta Matka Boża z Częstochowy osładza tę straszną pracę.

„Ale choć zebranie przez was grosza byłoby już dosyć dosyć dobrą stroną waszą, ale rodzinne wasze gminy i kraj, Polska, żądają jeszcze od was czegoś więcej. Żądają, abyście zdala od miłej Ojczyzny pamiętali o niej i kochali ją. Pomnijcie, że gdy żydów zapędzono do niewoli babilońskiej, to oni siedząc smutni nad rzekami babilońskiemi, płakali, gdy sobie wspomnieli o św. Syonie, każdy z nich co dnia powtarzał: „Jeżeli cię zapomnę Jeruzalem, niech zapomniana będzie prawica moja i niech przyschnie język do podniebienia mego".

„Owóż, moi drodzy, ja biedny, Kuba, proszę was na rany Boże, abyście wciąż mieli przed oczyma ten kraj ojczysty, abyście się interesowali tem, co się w nim dzieje, abyście patrząc na to, co tam dobrego, nauczyli się tego, a potem wróciwszy do kraju, pracowali gorliwiej, umiejętniej i byli przykładem jeszcze dla nas, nieporadnych i często głupich...

„Czytajcież, mili druhowie, pisma i książki i chowajcie się na tęgich ludzi, którzy, gdy wrócą do kraju, będą silną podporą w ciężkiej pracy ludowej i wogóle chłopskiej. A piszcie do gazetki, jak kto umie, abyśmy się dowiedzieli o waszej doli i niedoli, a żyjcie zgodnie, aby się tamtejsi ludzie nie urągali z was i nie mówili, widząc was w rozsterce: „Oto polska hołota, tylko się żre między sobą". A trzymajcie się kupy razem i niech jeden drugiego napomina po bratersku, jeżeliby jakie szpryńce wyprawiał, a niech nie opisuje zdradziecko w listach towarzysz towarzysza i niech go nie oczernia, jak się czasem trafia. Słowem. żyjcie jak bracia, jednej Matki Ojczyzny! A gdy wreszcie przyjdzie ten czas, że uznacie, iż trza wracać do kraju ojczystego, wracajcie zdrowo, a

> za wasze dolary i zamorskie spinki
> przytulicie głowy do ciepłej pierzynki.

Czego wam życzy wasz dobrze znajomy *Jakób Bojko.*

Areszt za nieodpowiadanie po niemiecku religii Rok mija, jak obłożono aresztem dzieci polskie za to, że nie chciały uczyć się, ani też odpowiadać na lekcyach religii po niemiecku. Z początku znaczna część dzieci nie odpowiadała wcale. Zwolna zmniejszała się liczba nie z powodów, których tu wyłuszczać nie chcemy, ale których każdy łatwo się domyśli. Ośmioro dzieci: siedm dziewcząt i jeden chłopiec, które w rozmaitych czasach przyłączały się do tak zwanych upornych, znoszą do dnia dzisiejszego, w dziejach szkolnictwa wszystkich narodów kuli ziemskiej niesłychaną karę aresztu tak długiego, z podziwienia godną, niezmordowaną wytrwałością i poświęceniem. Areszt jest w poniedziałek, wtorek, czwartek i piątek dwie godziny po południu od 2—4. W pierwszych czasach nawet był w środę i sobotę. W te dwa dni później dzieci zwolniono, podobno na żądanie ks. dziekana, aby mogły uczęszczać na naukę przygotowawczą do Sakramentów świętych.

Z Gliwic, 2 lutego. W niedzielę dnia 1 lutego zawisło nad Gliwicami wielkie niebezpieczeństwo na niebie politycznem i lada chwila spodziewaliśmy się, że pioruny zaczną bić. A była temu winna następująca przyczyna.

W powyżej wzmiankowaną niedzielę miał się u nas odbyć w sali p. Matuszka teatr amatorski. Miała być

przedstawiana „Trójka hultajska“ czyli „Gałganduch“. Policya nam jednak zakazała przedstawienia, stawiając za warunek, że mamy podać imiona; stanowisko i doskonały adres wszystkich w tej sztuce udział brających. Chociaż zrobiliśmy podanie 3 stycznia b. r., to nam odpisano dopiero 17 z. m, stawiając powyższy warunek Otrzymaliśmy odmowną odpowiedź dopiero we czwartek przed 1 lutego. Udaliśmy się zaraz do Opola, ale bezskutecznie. Na różne nieprzyjemności byliśmy wystawieni, chciano właściciela sali nakłonić, aby nam salę odmówił, strasząc go tem i owem Gospodarz jednak okazał się nieugiętym. Robiliśmy swoje, cośmy mogli, tak, żeśmy jeszcze na 2-gą godzinę popołudniu w niedzielę czekali odpowiedzi.

To też przed wieczorem na czas przed teatrem, gdy całemi chmarami ludziska ciągli z rozmaitych stron, policya była cała na nogach. Ze wszystkich stron stali stróże bezpieczeństwa, jawni i tajemni. Coś około 17 umundurowanych było na alejach porozstawianych, aby nikogo nie dopuścić do teatru, ale nasi wiedzieli, o co się rozchodzi, więc spokojnie, chociaż z bólem serca, rozeszli się do domu; a byli od Katowic, Rybnika, Raciborza i Opola z mocnem postanowieniem jeszcze bardziej być na warcie naszych dobrych spraw.

Do urządzenia przedstawienia nie dopuszczono! — a wiecie dlaczego? — oto dlatego, żeśmy w Krakowie w teatrze grali i polskie pieśni śpiewali.

Powódź w Szczucinie. Jakób Bojko tak opisuje w *Kuryerze Lwowskim* powódź w Szczucinie: Zwiedziłem miejsce katastrofy.

Piękna nasza Wiselka, i przekonałem się, że rozhulała się, jak za dawnych czasów tego u niej nie było i lud tonący w jej nurtach, ma chyba słuszny żal do niej.

Rozmarkociła się Wisła — lecz jakżeby się nie miała gniewać, kiedy lody straszne zakryły jej zwierciadło od 20 listopada.

Powszechnie atoli twierdzą, że głównym powodem klęski Szczucina, był zator pod Siedliszowicami, który spać nie dawał nadbrzeżnym mieszkańcom.

Tymczasem zima nieprzewidziana mroziła Wisłę drugi raz — a gdy lody ruszyły, utworzył się zator i pod Szczucinem.

Już 10 lutego widziano na Dunajcu płynące szczęty domów, skrzynki, łóżka i kolebkę. Były to skutki powodzi w Sromowcach

Niebezpieczeństwo pod Ujściem jezuickiem było wielkie. ale Pan Jezus miłosierny dał, że w nocy, z strasznym szumem, lody ruszyły dalej

Lody te oparły się o zator pod Szczucinem i naturalnie zatamowały całe koryto rzeki Wały Kazimierzowskie ochronne wały na brzegach Wisły, kazał sypać jeszcze sławny nasz król Kazimierz Wielki przed przeszlo 500 lat, i te pod Szczucinem obecne powodzie długo wstrzymywały, dzielnie stawiały opór rozszalałemu żywiołowi. Zacny król chłopków w popiół się rozsypał w krakowskiej katedrze, a dzieło jego dotąd oddaje usługi polskiej ludności, i świadczy o rozumie i wielkiej miłości dla narodu, który powodzie zawsze prawie przyprawiały o śmierć głodową.

Cześć ci i wieczny pokój wielki królu...

Jednak Wisła nie bała się i wałów. Przerwała najprzód starodawne, a potem łatwiej jej było nowe rozszarpać, zatopić tyle wiosek i przyprowadzić je do nędzy nie do opisania.

Starosta tutejszy z prawdziwem poświęceniem dzień i noc kierował czynnością ratunkową i stale tu mieszkał.

Pionierzy, wojsko znające się na robotach ziemnych mieli utrudniony ratunek, bo wody na polach zamarzły, a zatem i łodzie zamroziło. Wiatr dął od Wisły przeraźliwie i nie sposób było wytrzymać długo na wale. Pionierzy i biedni żandarmi skuleni krzątali się daremnie, oczekując pory cieplejszej.

Ludziska w niemem milczeniu wyzierali z zalanych domów, do których z trudem dobijali się łodziami pionierzy z żandarmami, by im podać pożywienie

Z okolicznych wsi, wójtowie przywozili chleb i grosiwo, a po kościołach księża wybierali składki. Rada powiatowa i Kasa zaliczkowa uchwaliły dosyć znaczną pomoc, a okoliczne dwory też z ratunkiem spieszyły

Namiestnictwo nie zostało w tyle, ale dało mało i to wszystko jest kroplą w morzu. Lód na gruntach będzie leżał aż do stopnienia, a ziemniaki, pasza dla bydła w stodołach i zasiewy przepadły z kretesem.

A zator na Wiśle stał niby straszliwe góry lodowate i ani mu się śniło, żeby ruszył.

Wprawdzie samo miasteczko Szczucin nie było zalane. Woda doszła tylko do jednego domku nizko położonego, tuż nad samą wodą Natomiast woda zalała dziewięć sąsiednich wsi, to jest Łękę Szczucińską, Łękę Żawiecką Wolę Szczucińską, Maniów, Oreżki, Borek, Słupiec i Otałęże Woda przerwała nadto wszelką komunikacyę Szczucina z Mielcem.

Główną przyczyną katastrofy stały się żydowskie składy drzewa.

Włościanie okoliczni posadzili wzdłuż wału i prostopadle do wału wiślanego szeregi wierzb. Wierzby te odgraniczają ich działy i tworzą tym sposobem rodzaj drzewnych miedz. Wierzby te dziś już są duże i mocne. Wzdłuż wału zaś wiślanego żydzi handlarze naskładali olbrzymie stosy drzewa i belek.

W owym dniu, kiedy kra z wodą wystąpiła z brzegów, stało się, że na drodze napotkała stosy belek, porwała je prądem i poniosła wprost na owe szeregi granicznych wierzb. Mocne stare wierzby

oparły się naporowi i zatrzymały nieruchomo owe długie belki.

Utworzyła się więc olbrzymia tama, która od tej chwili osadziła na sobie idącą krę.

Płynąc kra napływała, osiadała na miejscu.

W nocy wziął mróz. Nagromadzona kra zaczęła marznąć, z poszczególnych odłamów kry utworzyła się góra lodowa.

Tym sposobem stanęła nowa silna zapora, dla płynącej wody. Ta nie mając wolnego ujścia, zatrzymana lodem, zaczęła się rozlewać na dalsze przestrzenie.

Dla ludności zalanych wsi klęska wylewu jest straszną. Woda sięgała niekiedy do pułapów, a nawet do strychów. Ludność zmuszoną była chronić się do wsi niezalanych wodą. Wielu zaskoczyła woda niespodzianie w domach i zmusiła ich przez trzy dni siedzieć na strychach i dachach, cierpieć tam głód i mróz.

Wylew Dunajca. Skutkiem nagłej odwilży i kilkudniowych deszczów, lody na Dunajcu i dopływach ruszyły. Szkody ogromne. Kilka wsi zalanych. W Pieninach utworzył się koło Czerwonego Klasztoru zator lodowy, przeszło kilometr długi, a na kilka metrów wysoki — skutkiem czego woda z lodem uderzyła na wieś Sromowice Niższe i zabrała siedm domów mieszkalnych oraz kilkanaście zabudowań gospodarczych ze wszystkimi sprzętami i zapasami zboża. Szkoda wynosi około 50 000 koron Ludności zagraża nędza, gdyż ziemniaki, zalane w piwnicach wodą, marzną. Pomoc doraźna jest niezbędną.

Pożary w kraju. Do klęski powodzi, jaka nawiedziła nasz kraj, przyłącza się obecnie niestety druga, niemniej straszna, pożary.

I tak. W sobotę dnia 21-go lutego około godziny pół do 8-ej wybuchł pożar w Dolinie w domu Rothbauma, handlarza siana i wobec straszliwego wiatru przerzucał się z domu na dom tak, że w przeciągu niemal godziny całe miasto wyglądało jak morze płomieni.

Ratunku nie było prawie żadnego. Zatelegrafowano więc o pomoc do Stryja, Stanisławowa i Kałusza. Niestety, jedynie tylko wyruszył ze Stryja naczelnik straży pożarnej z sikawką i sześcioma strażakami.

Po całonocnych nadludzkich wysiłkach udało mu się ograniczyć ogień do tych tylko budynków, które po przybyciu na miejsce zastał już płonące. Miejscowa ludność w gaszeniu pożaru nie chciała być wcale pomocną i tylko przemocą można ją było do tego zmusić.

S p ł o n ę ł a p o ł o w a ś r ó d m i e ś c i a i k i l k a d o m ó w n a p r z e d m i e ś c i u Z a g ó r z e, j a k o b l i c z a j ą o k o ł o 200 d o m ó w, będących własnością prywatnych właścicieli.

Miasto przedstawia widok straszny: sterczące kominy, dymiące się zgliszcza, ruiny, a wśród nich płaczą i załamują ręce pogorzelcy. Główna ulica miasta z jednej strony zawalona gruzami, a po drugiej piętrzą się sprzęty najrozmaitszego gatunku, pościel itd. powynoszone z domów, środkiem zaś snuje się ludność.

W niedzielę zaś o godzinie 1 popołudniu wybuchł groźny pożar w Zaleszczykach. Wicher dął szalony i podniecał ogień, który zrządził znaczne szkody.

Straszne nieszczęście wydarzyło się po poruszeniu lodów na rzekach, płynących z gór Karpackich do Wisły. Gazety krakowskie, a za niemi i warszawskie, piszą, iż było to na rzece Wisłoce pod miasteczkiem Strzyżowem. Oto w poniedziałek dnia 9 lutego b. r. odbywał się tam pogrzeb księdza prałata Jabłczyńskiego. Na ten smutny obrzęd przybyło do miasteczka około pięć tysięcy ludu z bliższych i dalszych okolic. Wielu było z za rzeki. To też po pogrzebie zebrał się na jej brzegu koło przewozu tłum ludzi. Ponieważ mostu nie było, wszyscy wyprzedzając jedni drugich, cisnęli się na prom niewielki. Weszło nań tyle osób, ile się tylko mogło zmieścić. Statek więc niemal po burty pogrążył się w wodzie. W tem, kiedy już był na środku rzeki, uderzyły w niego kry i zaczęły go spychać z biegiem wody. Nie zdołano go utrzymać przy linie, czy też może lina się zerwała, i prom, gnieciony przez lody, z nimi razem popłynął. Kilkunastu ludzi skoczyło zaraz z promu do wody, i tych większą część, choć z trudnością, zdołano uratować. Pozostałych zaś na promie i błagających o ratunek, woda poniosła. Ludzie stojący na lądzie biegli przerażeni obu brzegami rzeki za unoszonymi, ale nic prawie do ratunku nie mieli. Łodzi ani wioseł nigdzie nie było. Starano się rzucić na prom koniec powrozu długiego, ale ten albo nie dosięgał tam, albo wymykał się nieszczęśliwym z rąk skostniałych już od zimna. Dno statku i nogi ich były już pod wodą. Kilka wiorst biegli ludzie za promem, ale daremnie, aż wreszcie tchu im zabrakło i noc zaszła. Musieli zatrzymać się i wracać z niczem, mając w myśli okropny widok, jaki się im w ostatniej chwili przedstawił, tonących z promem ludzi, do pasa już niemal w lodowatej wodzie zanurzonych. Dopiero pod wsią Zaborowem uratowano cudem prawie 13 ludzi. Potem wyciągnięto z wody jeszcze ośmiu, ale ci byli już martwi i życia nie odzyskali. Z pozostałych na promie jeszcze troje ludzi wyratował jeden maszynista kolejowy, a jedna kobieta, rzuciwszy się do wody, sama dopłynęła do brzegu. Ilu utonęło, do tej pory dokładnie nie wiadomo; podobno czterdziestu z górą, choć zrazu mówiono, że stu. Jeden gosdodarz, Jan Dragoń, widząc na promie swą córkę, a nie mogąc jej uratować, padł trupem.

Nieszczęśliwy wypadek. Dnia 15 lutego o godzinie 6 wieczorem podczas zawieruchy śnieżnej przechodziło dwoje dziewcząt po moście kolejowym nad Stonawką

z Karwiny do Darkowa. Nagle nadjeżdżający pociąg przejechał dziewczęta, z których jedna na miejscu zginęła, druga Urbankowa z Darkowa mocno pokaleczona została. Pociąg stanął natychmiast i zabrał pokaleczoną do Cieszyna, zmarła jednak w drodze do szpitala.

Meteor. W pobliżu miasta Anderson w Kalifornii w Ameryce spadła z hukiem i trzaskiem olbrzymia kula ognista, wyrządzając liczne szkody. Wstrząśnienie powietrza było tak wielkie, że nietylko wysadziło z ram wiele drzwi i okien, ale nawet poprzewracało lżej zbudowane domy. Wszystkie druty telefoniczne i telegraficzne zostały przerwane.

Między niebem a ziemią. Słynny badacz powietrza angielski Gleisher, który zmarł niedawno w 94 roku życia, odbył w celach naukowych 29 podróży balonem. Najważniejszą z tych podróży była odbyta przed laty 40, kiedy Glaisher, w towarzystwie drugiego uczonego Caxwella, wzbił się do największej wysokości, na jaką wzniósł się dotąd człowiek. Na wysokości przeszło 25.000 stóp — opowiada sam w jednem z dzieł swoich o tej wycieczce — ciepłota była o wiele poniżej zera, lecz podróżnicy mogli jeszcze bez szczególniejszej trudności oddychać. W dwie lub trzy minuty po tem balon wznosił się ciągle z niesłychaną szybkością Glaisher już nic badać nie mógł, oddychał ciężko, w chwilę potem nie był już zdolny poruszać rękami, głowa opadła mu na ramię, głos odmówił posłuszeństwa. Przez chwilę jeszcze widział, jak Caxwell zajęty był doprowadzeniem do porządku sznura od klapy, który się powikłał skutkiem ciągłego obrotu balonu, potem czarna zasłona pokryła mu oczy i wpadł w głębokie omdlenie. Trwało to z kwadrans. Przez ten czas udało się Caxwellowi otworzyć wentylator, balon zaczął spadać z szybkością ogromną i Glaisher odzyskał przytomność. Widział, jak Caxwell, któremu ręce zmarzły, trzymał zębami sznur od klapy, aby utrzymać balon w spadaniu w dół; po niejakim czasie mógł mu w tem dopomódz i wylądowali szczęśliwie. Narzędzia wykazały, że wznieśli się na 36.000 stóp. Caxwel przez cały czas nie stracił przytomności ani na chwilę.

Roślina mięsożerna. Dotychczas botanika znała rośliny, pożerające drobne owady. Obecnie chodzi o roślinę, rzucającą się... na psy. Wprawdzie wiadomość ta pochodzi z bardzo dalekich stron. Pewien podróżnik naturalista, nazwiskiem Dustan, zwiedzający brzegi jeziora Nicaragua w Ameryce, w czasie jednej ze swych przechadzek, usłyszał bolesne wycie swego wiernego towarzysza psa. Pobiegł ku niemu i znalazł nieszczęśliwe zwierzę, oplątane trzema łodygami czarnemi i lepkiemi, które tak się wżarły w skórę jego, iż z ran płynęła krew. Pan Dunstan wyswobodził psa i zbadał roślinę. Składa się ona z gałęzi giętkich, pasiastych, czarnych, bezlistnych, sączących lepki płyn i opatrzonych licznemi mackami. Krajowcy nazywają ją „sidłami szatana".

Zęby i usta. Jeżeli która z chorób zasługuje na miano ogólne, to jest nią na pewno próchnica zębów. Wszak w niektórych okolicach cierpi już na nią 99% młodzieży szkolnej,

Po większej części zęby psują się u dzieci w okresie szkolnym i w latach następnych. To też w wieku młodocianym, gdy ciało rozwijać się powinno, wpływ chorych zębów jest najzgubniejszy.

Troska o zdrowie zębów dzieci ubogich jest obowiązkiem nietylko władz państwowych i miejskich, lecz i dobroczynności prywatnej.

Gdzie większość dzieci nie jest w stanie żuć pokarmów należycie, tam fizyczne zwyrodnienie całego narodu nie da na siebie długo czekać — mówi pewien uczony lekarz, który podaje „Dziesięć głównych prawideł pielęgnowania zębów i jamy ustnej", a te ku pożytkowi i przestrodze wszystkich, powtarzamy tutaj.

1) Zęby czyścić należy codziennie.

2) Przyzwyczajaj dzieci swe od najmłodszych lat zawczasu do pielęgnowania ust! Czegoś zaniedbał za młodu, tego na starość nie naprawisz.

3) Wystrzegaj się słodyczy i zbyt miękkich pokarmów. Dobre żucie twardego chleba razowego najłatwiej i najskuteczniej zapobiega psuciu się zębów.

4) Nie zapomnij nigdy czyścić zęby na noc. Kto rano tylko zęby czyści, ten jest mądrym po szkodzie.

5) Czyścić zęby trzeba zapomocą szczoteczki i wykałaczki.

6) Do uzupełnienia pielęgnowania ust i zębów nadają się rozmaite płukania przeciwgnilne nieszkodliwe oraz dobre proszki do zębów.

Raz lub dwa razy do roku powinien dentysta zbadać zęby celem odszukania w nich zmian i usunięcia ich, nim się zbyt daleko posuną.

8) Kamień nazębny należy od czasu do czasu gruntownie usuwać

9) Chore zęby i korzenie, które pomimo leczenia utrzymane być dłużej nie mogą, należy bezwarunkowo usuwać, bez względu na to, czy na razie bolą czy nie.

10) Należy dbać o dobry rozwój zębów u kobiet ciężarnych i karmiących, oraz u dzieci w pierwszych latach życia, przez podawanie pokarmów posilnych i obfitujących w sole (jarzyny, mleko, jajka i t. d.).

Myszy w polu najłatwiej wytruć, kupiwszy w aptece pigułek fosforowych, specyalnie na myszy przyrządzonych. Po kilka pigułek wkłada się do rurki drenowej, a rurki przed wieczorem rozkłada na polu co kilkanaście kroków, a na rurkę kładzie się wiązkę słomy, pod którą myszy chętnie wchodzą.

Wczesnym rankiem, przed wschodem słońca obchodzi się pole, dobija otumanione myszy i zakłada nowe pigułki.

Gdyby nie było pigułek fosforowych, można w ten

sam sposób postępować, kupiwszy owsa lub pszenicy zatrutej strychniną.

Młode drzewka owocowe chronić można przed obgryzaniem kory przez zające, smarując pnie masą z krowieńca i gnojówki. Smarowanie uskutecznia się za pomocą pędzla, a takowe trzeba wśród zimy z kilka razy powtórzyć, ponieważ deszcze i śnieg zmywają owe smarowidło. Drzewka papką posmarowane, bywają nietknięte, gdy natomiast drzewka pozostawione bez opatrunku, z pewnością znaczne odniosą uszkodzenia, jeżeli zające sad odwiedzają. Papka powyżej podana, stanowi podobno doskonałą maść gojącą na rany u drzew. To też drzewka, u których kora została uszkodzoną, zagoją się po posmarowaniu papką z krowieńca i gnojówki.

O wpływie paszy na smak i barwę mięsa i jaj drobiu. Wpływ ten znany jest oddawna i uwydatnia się najbardziej między ptactwem dzikiem, a domowem. Mięso pierwszych jest białe i smaczne, drobiu domowego więcej żółte i mniej smaczne. Przyczyną tego jest bezwątpienia różnica w pokarmie. Podczas gdy drób domowy przeważnie żywi się strawą roślinną, to dzikie ptactwo przeważnie pokarmem pochodzenia mięsnego. Zauważyć nieraz można, że ptactwo domowe wypuszczone na wolny żer, powraca z wolami i żołądkiem wypełnionym robaczkami, muchami, gąsienicami, poczwarkami, a w małej ilości ziarnem. Mięso ptactwa domowego różni się też — jak mówiliśmy — i barwą i smakiem od mięsa ptactwa dzikiego; toż samo powiedzieć można o jajach. Jajo pochodzące z kury wykarmionej mięsem zawsze jest świeże, a żółtko ma kolor ciemno pomarańczowy; kury domowej, nie wypuszczanej na wolne pole, jajo jest mniej trwałe, ma mdły smak i zapach a żółtko jest blado żółte. Dlatego rolnik, który pozwala ptactwu wybiegać wolno na pole, większe zyski osiąga przez lepszą jakość ptactwa.

PYTANIA i ODPOWIEDZI.

O chowie królików i dobrem praniu, prasowaniu napiszemy w przyszłym numerze *Przodownicy*, bo w tym zabrakło miejsca, jak również odpowiemy Szanownej Sadkowej na Jej zapytanie zamieszczeniem rad i wskazówek w zaprowadzeniu praktycznego gospodarstwa.

Redakcya *Przodownicy* bardzo chętnie będzie pożyczała Szanownym Czytelniczkom książki do czytania, prosi jednak, aby napisały, jakie książki sobie Szanowne Czytelniczki życzą: treści gospodarczej, historycznej, czy też o podróżach — Za wypożyczanie książek nic żądać nie będziemy. Która zaś z drogich nam Czytelniczek lub Czytelników *Przodownicy* zechciałaby zająć się nauczaniem czytania ludzi dorosłych lub dzieci, szczególniej tam, gdzie szkoły niema, redakcya obowiązuje się przesłać jej najlepszy elementarz polski, za pomocą którego łatwą jest rzeczą nauczyć dobrze czytać po polsku. Kto nauczy choćby 10 osób czytać, otrzyma w nagrodę piękną książkę dowolnej treści, to znaczy, jaką sobie wybierze. Redakcya ufa, że każda z Czytelniczek i Czytelników, jako umiejąca czytać, rozumie i najlepiej pojmuje doniosłe znaczenie tej umiejętności — Obowiązkiem więc chrześcijańskim jest podzielić się ze swym bliźnim tym darem. — A spełnienie tego obowiązku powinno być największą nagrodą. Chrystus Pan powiedział do swych uczniów: „Idźcie i nauczajcie w Imię Boże“! A więc i myśmy ten rozkaz spełniać powinni — bo oświata i nauka dają nam możność poznania Wszechmocność Boską, dają nam to światło, bez którego jak ciemni chodzimy po tym świecie cudów. Tylko człowiek światły może odróżnić dobre od złego, tylko człowiek światły może umieć znać P. Boga i Jego dzieła. A więc uczmy i oświecajmy!

Skórki królików w braku umiejętności obchodzenia się z niemi zwykle się marnują lub sprzedawane są żydom za bezcen. Trzeba więc pamiętać, że każdą skórkę zużytkować można. Skórki od października do marca są trwalsze, więc przydatne na futerka, które Francuzi tak umieją wyprawiać, że trudno je odróżnić od futerek bobrowych i wydr, za które w handlu uchodzą. Letnie skórki dobrze wyprawiane dają bardzo delikatną skórkę żółtawą, starsze króliki dają skórkę żółtą, mocną, która ma zastosowanie przy wyrobie butów i trzewików. Sierść jest poszukiwana na wyrób filców. Trzeba pamiętać, by po zabiciu królika, skórkę królika niezwłocznie dobrze rozpiąć na desce, ustawić w suchem miejscu, poczem wewnętrzną stronę zmyć ciepłym roztworem ałunu (500 gramów ałunu i 500 gramów soli kuchennej rozpuszcza się w kwarcie wody), po zmyciu wysusza się i czynność tę powtarza się 4 do 6 razy. W ten sposób większą ilość wysuszonych skórek przechowuje je w miejscu suchem a chłodnem, a od czasu do czasu przetrzepuje. *Z Hodowcy drobiu.*

OGŁOSZENIE.

PARCELUJĘ majątek we wschodniej Galicyi w powiecie złoczowskim 480 morgów roli po 360 koron. — Zgłoszenia przyjmuje **J. Tobis** w Podhorcach koło Złoczowa.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: **Marya Siedlecka**.
W Krakowie. — Czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Dodatek do Nru 3 „Przodownicy“ z r. 1903.

DZIURDZIOWIE.

PRZEZ

ELIZĘ ORZESZKOWĄ.

(Ciąg dalszy).

Naprzeciw krzyża, leżał ogromny, siwym mchem obrosły kamień. O parę kroków od kamienia, Piotr Dziurdzia stanął, i ciężar swój z ramion na ziemię zrzucił, poczem wyprostował się, głośno odetchnął, w niebo spojrzał i z kieszeni kapoty hubkę wydobywszy, w milczeniu ogień krzesać zaczął. Głębokie milczenie zapanowało też pomiędzy towarzyszącymi mu ludźmi.

W tem Piotr Dziurdzia pochylił się ku ziemi i część przyniesionych przezeń suchych drewienek, buchnęła ogniem. Cztery kobiety jednogłośnie i na całe gardło wrzasnęły: — o, Jezu!

Dlaczego ogień tak bardzo przeląkł je, czy wzruszył?

Wszystkie cztery wrzasnęły z razu! — o, Jezu! A potem Stefanowa zawiodła dalej jeszcze: — O, Jezu mój, Jezu najmiłosierniejszy! Piotrowa wzdychała głośno i raz po raz Szymonową głowę w obie strony kołysała i także wzdychała.

Mężczyzni milczeli, wkrótce też umilkły i kobiety, znowu usta pozaciskały, lub szeroko pootwierały i, oddechy w piersi powstrzymując, czekały. Czekali wszyscy... na co? Na skutek ognia, który, żółtą strugą obejmując osinowe drzewo, palił się zrazu nizko przy ziemi, potem płomienistemi języki strzelać zaczął coraz wyżej.

Na polach pusto było i cicho. Stojąca na zachodzie chmura zagasła całkiem i tylko jeszcze wypływająca z za niej blada, złota łuna, rozświecała widnokrąg.

W gromadce ludzkiej, tłoczącej się u ognia, przy omszałym kamieniu i naprzeciw krzyża roznieconego, męzki, świeży głos, głośno i wyraźnie wymówił:

— Albo to prawda?

Wszyscy, obejrzeli się na mówiącego. Był nim wysoki, ładny Klemens.

— Co takiego? co takiego? co ty gadasz? — zaterkotała Stefanowa.

— Albo to prawda, że wiedźma na ogień przyjdzie — z nogi na nogę przestępując, powtórzył parobek.

Tym razem wszystkie kobiety pootwierały szeroko usta, a Franka półgłosem zajęczała: — Oj, Klemens, Klemens! — Ale siwy, Jakób Szyszko, uroczystym głosem rzekł:

— Za d z i d ó w, p r a d z i d ó w naszych przychodziła, to czemużby i teraz nie miała przyjść?

— Ale! — powtarzał chór głosów.

Klemens znowu z nogi na nogę przestąpił i mniej trochę śmiało niż przedtem, zauważył:

— Może jej ze wszystkiem na świecie niema?

— Kogo? — wrzasnęła Stefanowa.

— A wiedźmy... — wahającym się już głosem odpowiedział parobek.

Stefanowa porwała się obu rękoma za biodra i do Klemensa przyskoczyła.

— Wiedźmy niema? krzyknęła — a dlaczego mleko u krów przepadło? ha? dlaczego przedadło? Czy to ja łgę, że przepadło? Jeżeli ja łgę, to spytajcie się rodzonej matki, czy nie przepadło?... I u Szymona spytajcie się, i u Jakóba, i u wszystkich... Oj! biednaż główeczka moja! Mleka u krów kropeleczki niema... dziecku w gębę wlać czego niema... a on mówi, że wiedźmy niema... Oj, dolo moja nieszczęśliwa! oj, paskudniku ty, niedowiarku, h a r a t y k u taki, że niech Pan Bóg broni...

Klemens więcej, zda się, dla drwiny i na przekór babie, niż z przekonania — rzekł:

— Wiadomo! susza taka, że niech Pan Bóg broni, pasza kiepska, to i mleko przepadło...

Ale tym razem zwrócił się ku synowi Dziurdzia i łagodnie, ale z wielką powagą mówić zaczął:

— Hodzi, Klemens, kiedy nasze dzidy, p r a d z i d y w h e t o wierzyli, musić h e t o p r a u d a. Nie szczekaj darmo i czekaj. Może cud Bozki okaże się, okaże się nam niegodnym, a t a j a, co nam t a k u j u k r y u d u zrobiła, przyjdzie na ogień zapalony z tego osinowego drzewa, na którem powiesił się Judasz, psia jego dusza, co w żydowskie ręce wydał Pana naszego Jezusa Chrystusa. Amen.

Cicho i cicho! Na polu i drogach wciąż ani ducha żywego. W kuźni tylko odzywa się stuk młota; w ciszy powietrza ogień pali

się z wolna, lecz coraz wyżej. Piotr rzucił weń jeszcze sporą więź drzewa.

W tej chwili za wzgórzami, na drodze, która, przepadała w dalekich przestworach, dało się słyszeć dalekie jeszcze, ale rozgłośne śpiewanie. Po uciszonych przestworzach, po pustych polach, po drzemiącym świecie, śpiewanie to płynęło melodyjnie i szeroko, na nutę łagodną i tęskną. Śpiewający głos kobiecy był silnym, czystym, rozległym, wyraźnie rzucającym w przestrzeń miłosne słowa pieśni.

Na twarzach gromadki, stojącej przed ogniem i naprzeciw złoconego krzyża, odmalowały się zmieszane uczucia zadowolenia, przerażenia, nadewszystko zaś ciekawości. Sam nawet niedowiarek Klemens, szeroko oczy roztworzył i rękę podnosił, aby przeżegnać się po raz wtóry, ale ze wzruszenia zawisła mu ona w powietrzu.

— Idzie! u ż e idzie! — szepnęły kobiety.

Franka ze strachu przed wiedźmą na ziemi przysiadła, z całej siły przytem trzymając się obu rękoma kapoty Klemensa.

Niewidzialna śpiewaczka, zbliżając się coraz. śpiewała dalej:

Tym razem trzy Dziurdziowe jednomyślnie na siebie spojrzały.

— Kowalicha, czy co? — szepnęła żona Piotra.

— Ale! — odszepnęła żona Szymona — nikt h e t a k nie ś p i e w a j e, tylko ona!

Na szczycie małego wzgórza ukazała się i szybko zstępować zeń zaczęła, postać kobieca, której rysów jeszcze rozpoznać nie było można. Szybko idąc, dalej pieśń swą śpiewała.

Nagle głos śpiewającej urwał się i zamilkł. Znalazła się ona o kilka kroków od rozniecenego ognia i, jak w ziemię wryta stanęła. Młodą jeszcze była, wysoką, silną i kształtną. Z pod wysoko podniesionej sinej spódnicy, widać było silne i nagie jej nogi, bosemi stopami tonące w gęstej trawie. Oprócz sinej spódnicy, miała na sobie tylko grubą koszulę, wielki pasiasty fartuch, dwoma rogami mocno do pasa przytwierdzony i napełniony takiem mnóztwem kwitnących ziół, że wylewały się na jej spódnicę i, czepiając się wzajem, aż ku ziemi spływały. Były to liliowe czombry i brunelki, koniczyny różowe i białe, gwieździste rumianki, błękitne cykorye polne. Oprócz tego, w obu ramionach niosła ona ogromny snop roślin o długich, twardych łodygach, żółtej dziewanny i śnieżnego tysiącznika, a był to snop tak wielki, że całą pierś i część twarzy jej odkrywał, i że nad nim widać było tylko głowę jej, wpół osłonioną czerwoną chustką, z pod której, ze stron wszystkich, na grubą koszulę, ogorzałą szyję i wązkie gładkie czoło wymykały się gęste, krótkie pasma włosów ciemnych, splątanych i bez połysku. W pół-osłonięta kwiatami i włosami twarz jej wydawała się grubą i pospolitą; ogorzała, rumiana, z wiśniowymi usty, wypukłemi policzkami i wesoło zadartym nosem, jaśniała ona tylko dwojgiem oczu wielkich i podłużnych, które szarą, błyszczącą, wymowną źrenicą, zdawały się mówić, śmiać się, pieścić i śpiewać... Stanęła ona tuż pod krzyżem, który teraz stał cały w płomiennym blasku. Pierwszy dźwięk, który z ust jej wyszedł, brzmiał gapiowatem trochę zadziwieniem.

— Aaaa! — rzekła — co wy tu takiego robicie, ludzie?

Ale wnet, jakby przypomniawszy sobie rzecz dobrze znaną, tonem zapytania dodała:

— Wiedźmę na ogień łapiecie? czy co?

A potem, skinęła głową i z zupełną już świadomością dokończyła.

— Aha! mleko u krów przepadło.

I, kołysząc głowę w obie strony, przeciągle zadziwiła się znowu:

— Aaaa! umum! dziwy to, dziwy!

Wszyscy powyciągali ku niej szyje i oczy w nią wlepili. W kilku parach tych oczu nic jeszcze innego nie było, tylko zdziwienie i trochę obrzydzenia.

Kobieta z ziołami tymczasem zapytała znowu:

— Cóż? czy już przechodziła?

Nikt nie odpowiedział. W błyszczących i śmiejących się jej źrenicach, mignął niepokój

— Cóż? — powtórzyła — widzieli już wiedźmę? przechodziła?

Tym razem z gromadki ozwał się łagodnie brzmiący, ale bardzo poważny głos Piotra Dziurdzi.

— A b o n i e w i e d a j e c i e, że która pierwsza przejdzie koło ognia, ta jest wiedźmą.

— No — tonem głębokiego przekonania odparła kobieta — żeby ja tego nie wiedziała, wiem! To i któraż pierwsza przeszła?

Dwa poważne głosy męzkie, z których jeden należał do Piotra Dziurdzi, a drugi do Jakóba Szyszki, odpowiedziały:

— Ty.

— Ja? — wymówiła kobieta, stojąca pod rozpłomienionym krzyżem i opuściła ramiona tak, że żółte dziewanny i białe krwawniki rozsypały się po trawie i okryły jej bose stopy. — Ja! — powtórzyła i załamała na spódnicy ciemne spracowane ręce. Wiśniowe jej wargi rozwarły się szeroko, w oczach mignęło uczucie zgrozy. Trwało to jednak króciuchną chwilę i wnet po rumianych, pulchnych jej policzkach, po czole wązkiem i ustach rozwartych, drgać poczęło mnóstwo figlarnych, wesołych uśmiechów. Zwyciężyły one wreszcie zdumienie i przerażenie: śmiech dźwięczny i zanoszący się wybuchnął z jej piersi. Jak przedtem pieśń, tak teraz śmiech jej rozlegał się po drodze i po polu szeroko, dźwięcznie, rozgłośnie. Czuć w nim było duszę żywą i świeżą, coś nakszałt naiwności dziecka i niezmąconej wesołości ptaka. — Ja! ja! — wołała wśród śmiechu — ja pierwsza na ogień przyszła! Ja mleko krowom odebrała! ja wiedźma! oj, ludzie, ludzie! co wy wymyślili! czy wy zdureli (zgłupieli), czy wam pomięszało się w głowach!

I śmiała się wciąż tak, że aż dłońmi boki sobie przycisnęła i przeginała na wszystkie strony swą silną i kształtną kibić. A gdy już tak wyśmiała się, że aż obu pięściami oczy z łez ocierać musiała, z drgającą jeszcze resztą śmiechu piersią, głośno splunęła.

— Pfu — zawołała — taką brzydką rzecz na chrześcijańską duszę powiedzieć! Czy was nie wstyd?

Schylona, zbierała przez chwilę z ziemi upuszczone z rąk zioła i kwiaty. Potem wyprostował się i tuż koło gromadki przechodząc, rzekła jeszcze:

— Stójcież tu i czekajcie wiedźmy, bo jak Bóg jest w niebie, ona nie ukazała się jeszcze. Mnie pilno do mego i do dzieci. Bywajcie zdrowi!

Skinęła głową ku obecnym tak wesoło i uprzejmie, jakby o tem, co ją od nich spotkało, całkiem już zapomniała, żwawym krokiem poszła drogą, wiodąca ku samotnej chacie i czerwone błyszącej obok niej kaźni.

Ludzie, pozostali u ognia, stali z pochylonemi głowami w milczeniu, które pierwszy przerwał Piotr Dziurdzia.

— Ot i okazał nam Pan Bóg wszechmogący krzywdzicielkę naszą.

Żony Piotra i Szymona głośno westchnęły, a Stefanowa podskoczyła i przed mężem, trzymającym w objęciu dziecko, stanęła i z wlepionemi w niego oczyma, przez zaciśnięte zęby wymówiła:

— Wiedźma, kowalicha! wiedźma miła twoja! Wiedźma, twoje serdeńko najmilsze!

On głowę swą ku głowie uśpionego dziecka pochylił i wyglądał zgryzionym, ponurym. Sam do siebie z cicha mruknął:

— To ja już dawno wiedział, że ona jest wiedźmą!

Hoża Franka opuściła plecy i ramię ładnego parobka i, zwrócona w stronę, w którą poszła kowalowa, z palcem do ust przyłożonym, głęboko nad czemś rozmyślała. Ogień niepodsycany przygasał i blaski jego spełzły już z krzyża, który wznosił się teraz na tle zmroku wysoki, czarny, niemy. Ludzie, którzy niby motyla na świecę, złapali wiedźmę na ogień rozniecony z osinowego drzewa, mogli już do domów swych odejść, nie odchodzili jednak: dumali i słuchali. Na drodze wiodącej do kuźni rozległ się jeszcze rozgłośny i czysty głos kobiety, wyśpiewujący drugą strofę skocznej pieśni.

II.

Oj dawno już, dawno, mieszkańcy Suchej Doliny podejrzewali Pietrusię, żonę Michała kowala i wnuczkę ślepej Akseny, że posiadała ona wiadomości i moce takie, jakich posiadać nie można bez stosunków z nieczystą siłą.

Żadna z tutejszych kobiet nie wiedziała tyle dziwnych rzeczy, co ona, Zkąd ona je wiedzieć mogła? Chyba od ślepej babki swojej, Akseny, która przed wielu laty, przywędrowała tu zkądciś z malutką wnuczką i, wtedy jeszcze ślepa nie będąc, prosiła u ludzi o pracę, jak o łaskę, a otrzymawszy ją, Pietrusię swoję na dorosłą dziewkę wyhodowała. Zdawało się, że na to tylko czekała, aby oślepnąć, a gdy to się nie stało, nie krzyczała, nie lamentowała, tylko, wgramoliwszy się omackiem na piec, kądziel i wrzeciono w ręce wzięła i do wnuczki rzekła:

— Teraz ty duża i, chwalić Boga silna, możesz pracować i mnie żywić do końca życia mego, tak, jak ja ciebie żywiła od maleńkości, kiedy ci ojciec i matka jednego roku zmarli. Na przyodziewek sama sobie zarobię. Prząść i na pamięć potrafię.

Piotrusia, siedemnastoletnia podówczas dziewka, zdrowa i rumiana, siedziała na brzeżku pieca i, oczy mając pełne łez, już, już wybuchnąć miała wielkim nad kalectwem babki płaczem i lamentem; jednak, widząc,

że babka nie płacze, lecz owszem uśmiecha się trochę i wrzecionem furka a furka, pochyliła się, kolana i stopy jej ucałowała i rzekła, tylko:

— Dobre, babulo, żywić ja ciebie będę i pilnować jak oka w głowie, tak jak ty mnie żywiła i pilnowała od maleńkości, kiedy mi ojciec i matka jednego roku pomarli. Tak mnie Boże dopomóż, że będę.

Dwie te kobiety, z których jedna była bardzo starą i ślepą, druga młodziutką, żwawą i wysmukłą, napełniały chatę bajkami i pieśniami. Aksena umiała mnóstwo bajek, a Piotrusia mnóstwo pieśni.

Aksena nie skarżyła się wcale, owszem po całych dniach i wieczorach, na piecu siedząc, spokojnie sobie przędła i gdy potrzeba jej wypadła, z ludźmi rozmawiała, doradzała im i rozpowiadała rzeczy różne. Pietrusia nosiła jej na piec strawę, dmuchając na nią, gdy była gorącą, kartofle w krupniku łyżką drobiąc, skwarki z zacierki lub kaszy wyławiając. W ręce ślepej, które wyciągały się po żywność i w powietrzu błądziły, łyżkę i chleb wkładała, tonem namowy, mówiąc:

— Jesz (jedz), babula jesz sobie: ja miske potrzymam.

Każdej niedzieli z rana, gdy wszystko zrobiła, co tylko w chacie do robienia było, z kubłem wody i grzebieniem w ręku na piec właziła i przez całe pół godziny trudniła się myciem i czesaniem babki. Szmatą umoczoną w wodzie myła i szorowała twarz jej gorliwie. Potem na białe jej włosy wkładała czepiec z bawełnicy czerwonej lub czarnej.

A wtedy babka zapytała:

— A nie udaje się kto do ciebie?

Oczy spuszczając, dziewczyna odpowiadała:

— A udają się. To już ja tobie, babulo, przeszłej niedzieli mówiła.

— Stefan Dziurdzia? — Tonem zapytała stara.

— Ale!

A więcej kto?

— Toż ja mówiła! Michałko Kowalczuk.

— Aha to nic... Na to ty dziewka, żeby do ciebie kawaliry udawali się.

I tak dalej mówiła:

— Sierotą jesteś i tylko na boskiej opiece, nie daj się skrzywdzić, bo zginiesz, tak, jak ta kropla wody w wielkiej rzece.:. Ja już teraz na ciebie nie patrzę, ale Pan Bóg patrzy i ludzie także patrzą. Pamiętaj, żeby na tobie grzechu przed Bogiem, a wstydu przed ludźmi nie było. Kiedy który lubi, niech żeni się, a kiedy żenić się nie chce, to ty jego przy zbliżeniu się wszelakiem, raz, dwa, trzy — w pysk! taj hodzi! Dziewczyna powina być, jak ta szklanka, kiedy ją w wodzie krynicznej wymyją, ot co!

I długo jeszcze staruszka w sposób taki do wnuczki przemawiała, a powtarzało się to każdej niedzieli. Jednej zaś niedzieli tak do niej rzekła:

— Jeżeli kogo polubisz i zechcesz koniecznie, żeby on z tobą ożenił się, to powiedz mnie. Ja na to sposób znajdę... Na to już ja twoją babką i jedyną na tym świecie opiekunką jestem, żeby ciebie w każdej godzinie ratować...

Bardzo zawstydzona, ale zarazem zaciekawiona, Pietrusia szepnęła:

— A jakiż to sposób, babulo?

Stara po cichutku prawić poczęła:

— Wszelakie są na to sposoby. Można nietoperza w mrowisku zakopać i, jak go mrówki ze wszystkiem zjedzą, z kosteczek jego jedną taką wybrać; można i ziela takiego poszukać, co nazywa się zahardusżką, a korzonki ma takie, jak niby te dwie rączki połączone... Można i innego ziela...

Wszystko to stara prawiła z powagą wielką i tajemniczością niejaką, a prawiłaby była daleko dłużej, gdyby ją była Pietrusia mocno za fartuch nie pociągnęła. Przytem wstydliwie, lecz zarazem radośnie zachychotała.

— Hodzi babulo — szepnęła hodzi! Niczego mi tego nie trzeba. Ani nietoperza, ani zaharduszki, ani innego ziela nie trzeba. On i tak ożeni się ze mną.

Stara widocznie z natężeniem wielkiem uszy nastawiła:

— Który? — zapytała.

— A Michałko.

— Kowalczuk?

— Ale.

Babka przyzwalająco pokiwała głową.

— Dobrze — rzekła — dobrze, czemu nie? chatynkę swoję i kawałek swojej ziemi po ojcach ma. Przytem rzemieślnik... Ajaj... Jakby było dobrze!

— Oj, oj — tryumfująco zadzwoniła Pietrusia — dalibóg ożeni się! mówił mnie nie raz, ale sto razy...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka.
W Krakowie — czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.